Nr. 40 (1188). Warszawa, dnia 20 Września (3 Października) 1903 r. Rok XXIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. **2**, rocznie rb. **8**, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. **2** kop. **50**, rocznie rb. **10**.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.
Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.



ROZKŁAD.

Rozkaz dzienny do armii z Chłopów dnia 16 z. m. rozniecił niesłychany pożar. Krzyki na gwałt zadany konstytucyi, na wciąg nie armii w politykę, na podstęp i wpływ z za kulis — dały jeden powszechny wyraz węgierskiemu rozumowi stanu i węgierskiemu patryotyzmowi. W Peszcie spalono rozkaz publicznie, porobiono sobie przepaski i wieńce żałobne z napisem, upamiętniającym miejsce i datę owego rozkazu; zaostrzono ideał narodowy w zakresie wojskowości; spotęgowano opór przeciwko wszelkim wnioskom rządu, nieprzyznającym odrazu całego „programatu narodowego"; wezwano obywateli do odmawiania podatków i rekruta, a kasyerów do nieprzyjmowania wpływów dla rządu. Przewódzcy Węgrów, ze stronnictwa niezawisłości, podstawiając się za cały naród, wywołali w warstwach najruchliwszych usposobienie przedrewolucyjne, Kossuth, chociaż jeden z najzagorzalszych wyznawców ideału, upominał swój naród, aby się nie rzucał w rewolucyę, gdyż nie ma sił do niej potrzebnych.

Uspakajające wyjaśnienia i zapowiedzi nie osłabiły płomieni narodowego pożaru: przeciwnie, to, co miało go zażegnać, jeszcze go bardziej podsyciło. Gdy dnia 24 z. m. Khuen-Hederwary wraz z nowem pełnomocnictwem przyniósł sejmowi te ustępstwa, które za Szella w maju r. b. byłyby zadowoliły może nawet najdalej idących, powitano go gradem wymysłów, obelg i przekleństw, nazwano go oszustem, człowiekiem sprzedajnym, niegodziwcem, łotrem; rzucono się ku niemu, aby go policzkować; przez parę godzin przepędzano go przez torturę pogardy, aby w końcu wygnać go z Izby i z rządu samego, teraz już chyba nieodwołalnie. I nie poprzestano na samym ministrze: z ust Barabasza wyleciał okrzyk: „Nie wierzymy królowi, król zgwałcił konstytucyę." Za to „nie wierzymy" zapisano mu wprawdzie naganę do protokółu; ale jego „zgwałcenie konstytucyi" jest artykułem wiary ogółu, jest nawet myślą panującą nad umysłami w sejmie, w stronnictwie liberalnem, stało się hasłem podniecającem do walki. Cały naród poszedł pod chorągiew Barabasza.

Tę gorączkę Węgrów podsycił Körber mową swoją o stosunku do Węgier i o sporze ich z królem, na pierwszem posiedzeniu Rady państwa, zwołanej dla uchwalenia dawniejszego poboru ze 104,000 ludzi na całą monarchię. Dnia 29 z. m. stronnictwo liberalne wszczęło hałas i zatamowało głos upatrzonemu prezesowi ministrów bez ministrów. Khuen musiał aż przez telegraf zażądać dymisyi. Położenie wewnętrzne jest daleko gorsze dziś, niż było przed rozkazem w Chłopach, a nawet po nim. Teraz już Przedlitawia w sejmie zaczyna występować przeciwko Węgrom; jedna połowa monarchii przeciwstawia się drugiej. Słowa Körbera o Węgrach przyjęła Rada państwa w Wiedniu oklaskami, a po gwałtownych rozprawach, uwzględniając rezolucyę p. Dzieduszyckiego, uchwaliła d. 26 z. m. żądany pobór. Po chwiejnych rozporządzeniach ministeryalnych wielkie *odium*, przedłużonej nad zwykłą normę służby, nareszcie znika. Taniec rozpoczęty z Węgrami jest tańcem śmierci.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Na Wschodzie spokojnie: o nowych okrucieństwach nie słychać; Bulgarya na zdanie hr. Lamsdorffa, że Turcya ma prawo gromadzić wojsko na pograniczach, nie odważyła się odpowiedzieć „koncentracyą 50-tysięcznej armii;" komisya wspólna, z Turków i chrześcian, co prawda, nieokreślona w swych atrybucyach, zaczyna się wynurzać z toni zapowiedzi i zaprzeczeń; stanęła nawet jakaś ugoda bulgarsko-turecka, na mocy której Bulgarowie dopominają się większego wpływu w innej znowu komisyi i, co więcej — przedstawiciela w samym Ildiz-kiosku; największą zaś porękę spokoju między Bulgaryą a Turcyą daje zamianowanie rozważnego Naczewicza agentem przy Porcie. Wszystko to jednak tworzy tylko szaniec z piasku: i powstanie stoi jeszcze niepowalone, i żądza Bulgaryi nie wygasła, i klucz od puszki Pandory znajduje się w rękach dyplomacyi na usługach ambicyi politycznej.

Mocarstwa działające nie zaniedbały wysłać nowych not o okrucieństwach tureckich i nieodzowności reform; przyznają wszakże niemożność wprowadzenia ich podczas trwającego powstania. *Goniec urzędowy* z d. 23 z. m. oznajmia, że wszystkie mocarstwa traktatowe zapowiedziały Bulgaryi, aby nie liczyła na niczyją pomoc w razie oporu przeciw reformom. Toż samo stosuje się do Turcyi. Okrucieństwa, z nieosobliwą skwapliwością śledzone przez Turków, poruszyły już Anglików; korespondencya arcybiskupa Kantuaryjskiego z Balfourem podnieciła umysły czułe na *attrocities*.

Depesza z Portu Arthura donosi o zbudowaniu już 30 fortów a dalszej budowie 50-u. W porcie stoi 40 okrętów wojennych, 40 innych znajduje się w pogotowiu. Na 15 paźdz. spodziewano się w Talien-wanie 5 większych okrętów. Agencya Reutera d. 28 b. m. zawiadamia o sile wojsk na dalekim Wschodzie Azyi: w Syberyi 50,000, w Mandżuryi 110,000, 90,000 na półwyspie Liao-tong (Port Arthur i Talien-wan).

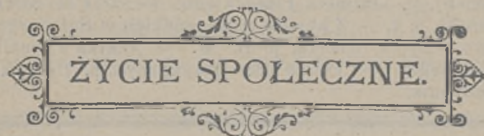
W Serbii odbyły się d. 21 z. m. wybory do skupczyny: 72 umiarkowanych, 61 ostrzejszych radykałów, 2 „dzikich," 14 ze stron. liberalnego, 1 postępowiec, 1 socyalista, 9-u niewybranych. Skupczyna miała się zebrać d. 29 z. m. Oryginalna wiadomość nadchodzi ze

Stambułu: irade uznaje narodowość serbską za istniejącą w Macedonii; do komisyj rozmaitych, będących obecnie na dobie, wchodzą już Serbowie — jeszcze na papierze.

Z 46 oficerów uwięzionych w Niszu 27 oddano pod sąd i przewieziono do Białogrodu. Po sześciodniowych rozprawach, ożywionych odkryciami dwóch głównych oskarżonych, Nowakowicza i Łazarewicza, o kradzieżach i rabunkach spełnionych przez morderców z d. 11 na 12 czerwca r. b., sąd skazał obu powyższych kapitanów na 2-letnie więzienie; innym wymierzył kary więzienne od 1 roku do 1 miesiąca. Oficerów trzymających z „mordercami," uczestników zamachu stanu, w liczbie 22, przeniesiono z prowincyi do Białogrodu.

Na wiecu socyalistów w Dreznie zarysowały się mocno prądy, nurtujące to stronnictwo w Niemczech. Pamiętnym wiec ten będzie przez hakatyzm względem Polaków: wezwano ich do rzucenia się w morze niemieckie, a ponieważ odmówili, odjęto zapomogę dziennikom polskim.

Sądy pruskie skazały podoficera Breitenbacha za 300 przestępstw cięższych, spełnionych na żołnierzach, na 8 miesięcy więzienia — po 20 godzin za przestępstwo — dość tanio. Pierwsza instancya wymierzyła była na łotra karę półczwarta roku więzienia; wyższa się zmiłowała. Kiedyż ustanie ta legalna zwierzęcość?



RACHUNKI SPOŁECZNE.

Zwrot w zapatrywaniach na proletaryat wiejski. — Parcelacya.— Dodatnie i ujemne strony chłopa, — Samopomoc. — Brak opinii. — Wstrętny objaw.

Kwestya proletaryatu wiejskiego, to jedna z najwięcej zawikłanych naszych spraw społeczno-ekonomicznych. Ciemnota ludu z jednej strony i stan materyalny naszego ziemiaństwa, jego trwający dotychczas w większości wypadków konserwatyzm sprawę tę wikłają w niesłychany sposób. Dlatego też nieraz zaznaczano na łamach pism postępowych agraryuszowskie, egoistyczne zachcianki szlachty i niewłaściwe traktowanie przez nią służby i najemników. Te głosy krytykowano ostro w organach sfer ziemiańskich, a szlachta odpierała ze świętem oburzeniem owe *quasi* insynuacye ludzi niepowołanych, niemających pojęcia o sprawie, w której głos zabierają itd. Dla ostatecznego zaś zdławienia nieszczęsnych krytyków, malowano nam życie wiejskie, jako sielankę niemal, w której widzieliśmy dobrych panów, wierną służbę, poczciwych kmiotków, pomagających sobie wzajemnie. Jeżeli zaś tę sielankę zmąciło niekiedy jakieś niepożądane *intermezzo*, to zawsze było rzadkością, wynikającą li tylko ze złej woli krnąbrnych jednostek, które pomimo tyloletnich starań „dworu," ani rusz nie mogły być wyjęte z pośród idealnej „Bożej czeladzi."

Z niemałem więc zdziwieniem wyczytałem w organie naszego ziemiaństwa, *Gazecie Rolniczej*, artykuł p. St. Moszczeńskiego o regulowaniu stosunków służbowych na wsi. „Przeobrażenie przykrych stosunków na wsi — mówi autor— nie jest rzeczą chwili. Siła przesądów i dziedzicznych instynktów pociąga ciemnego chłopa do nadużyć, a wspiera go w złem jego dola materyalna. Jakież życie pędzi ten człowiek? czem się odżywia? nawet chleba nie może mieć do syta! Pragnąc oprzeć stosunek sługi do pana na gruntowniejszych zasadach etyki, należy przedewszystkiem poprawić jego los materyalny. Wówczas od robotnika, dobrze wynagrodzonego, będzie można wymagać większej uczciwości, a surowo karać każde nadużycie." Oto do jakiego wniosku dochodzi autor-ziemianin! A nie jest to głos pojedynczy, bo w dyskusyi, jaka się wywiązała, p. W. Glinka, omawiając szerzej kwestyę wynagrodzenia robotników wiejskich, tak się wypowiada:

„Trudne warunki rolnictwa czynią, iż umiejętność gospodarowania w znacznej mierze polega na oszczędności w rozchodach. Z drugiej strony, wiele artykułów pochodzenia przemysłowego, nieodzownych dla robotników, podrożało, a równocześnie ten robotnik, wraz z podniesieniem się jego poziomu cywilizacyjnego, powiększa skalę swych nieodzownych potrzeb... Nam nie pozostaje nic innego, jak podwyższyć płacę, tak służbie, jak wolnym najemnikom. Przynagleni koniecznością, bronimy się wszakże do upadłego..."

Dalej, scharakteryzowawszy rozmaite sprytne systemy, stosowane na folwarkach szlacheckich dla pogodzenia konieczności podwyższenia płacy robotnikowi i zachowania solidarności sąsiedzkiej, wymagającej niepodnoszenia płacy chłopom miejscowym, autor kończy: „Szlachecką solidarność," polegającą na niepostępowaniu ludziom 5 kop. nad to, co płaci sąsiad, i na nieprzyjmowaniu robotników ze wsi leżących w jego „sferze wpływu" (coś tak, jak mocarstwa europejskie w Chinach lub Afryce środkowej), tę solidarność czas osądzić należycie, tj. jako prosty wyzysk niemoralny."

W tejże samej sprawie musimy zaznaczyć głos *Ech Płockich i Łomżyńskich*, które poświęciły sprawie robotniczej na wsi, a raczej jednej tylko jej stronie — długości dnia roboczego, dwa artykuły. Autorowie ich z oględnością, lecz i bardzo bezstronnie rozpatrują rzecz całą, przychodząc do przekonania, że dzisiejszy 15, a nawet 20-godzinny dzień roboczy jest szkodliwy i że należy koniecznie unormować tę sprawę w jakibądź sposób.

Takich głosów ze szpalt pism ziemiańskich nie słyszeliśmy bardzo dawno; odbijają one jaskrawo od tych wniosków korporacyj rolniczych, które żądają ustaw kagańcowych dla najmitów wiejskich, ograniczenia im swobody emigracyi itd.

Oczywiście, nie możemy tych pierwszych jaskółek uważać za niechybny objaw nadchodzącej wiosny całkowitego uregulowania sprawy robotniczej na wsi. Nie, możemy jedynie stwierdzić pewien i to dość znaczny postęp w pojmowaniu tej kwestyi przez nasze sfery ziemiańskie. Bądź co bądź, w przekonaniu niektórych ich przedstawicieli i rzeczników, chłop - najmita przestaje być jedynie mniej lub więcej leniwem bydlęciem roboczem, a zaczynają go uważać za osobę prawną, za kontrahenta umowy, obowiązującej obie strony. Zaś wady i niemożliwe często cechy charakteru najmity próbują rozpatrywać bezstronnie, a to już wiele. Kwestya najemników wszędzie o wiele trudniejsza do rozwiązania na wsi, niż w mieście, u nas jest tem groźniejsza, że spada całkowicie na barki żywiołów, zupełnie do dźwigania tego ciężaru nieprzygotowanych: ciemnego chłopstwa i goniącego ostatkami a rozpaczliwie broniącego tych resztek ojcowizny, wciąż topniejącej bez nadziei lepszego jutra, ziemiaństwa średniego, któremu walka o byt na zagonie pochłania siły żywotne w całości, niezdolnym go czyniąc do jakiejkolwiek pracy kulturalnej ani dla siebie, ani dla ogółu.

Dlatego też nie podzielam wcale żalu *Gazety Kieleckiej* z powodu wciąż postępującej parcelacyi. W ciągu r. 1901 — czytamy w sprawozdaniu Banku włościańskiego — w 10 guberniach Królestwa rozparcelowano ogółem 747,577 mórg ziemi na ogólną sumę 7,140,299 rb. Liczba nabywców (wraz z rodzinami) wynosiła 18,796 osób, w czem 47,5% stanowili bezrolni. Średnio za morgę płacono 95 rb., co w ciągu lat ostatnich wzrastało o 8%. Średnia wielkość nowo powstałej przez parcelacyę osady była 9,5 morgi.

Juliusz Piasecki.

Sprawiedliwość Boża.

(z legend hebrajskich).

Rebe Gerszon był uczonym talmudystą i wiódł żywot świątobliwy. Oderwawszy umysł od rzeczy doczesnych, stracił zupełnie pojęcie rzeczywistości i z coraz większem zapamiętaniem się dążył ku poznaniu prawdy, którą zaledwie przeczuwał. Dusza jego była pełna wątpliwości i niepokoju. Czytał w świętych księgach, że wszystko: tak złe jak i dobre, niedola i szczęście, krzywda i dobroczynność, wszystko, co składa się na rozkosz i plagę człowieka, wplata się w życie według odwiecznych prawideł, a przyroda i człowiek to jedność, tak jak ból i rozkosz z jednego płyną źródła i w jednakim giną oceanie.

Jednego wieczora, kiedy z większą jeszcze mocą niż zazwyczaj, rozmaite wątpliwości poczęły ogarniać rebe Gerszona, ukazał mu się Mesyasz i tak do niego przemówił.

— Chcesz dojrzeć to, co zakrytem jest dla ludzkich oczu, niemogących znieść oślepiającego blasku prawdy. Zdaje ci się, żeś godny dostąpić tej łaski, aby się jej z blizka przypatrzyć. Chodź ze mną. Ale uprzedzam cię, że jeśli zawiele pytać będziesz zostawię cię w połowie drogi i zakrytą będzie przed tobą prawda, której jestem wysłannikiem.

Rebe Gerszon zatrwożył się w głębi ducha, lecz pragnienie prawdy było w nim tak wielkie, że tylko zmrużył oczy i szepnął:

— Prowadź! Pójdę z tobą.

Mesyasz przybrany był w szatę żebraka; rebe Gerszon podobną wziął odzież, i obaj ruszyli w drogę.

Nad ulicami miasteczka, które teraz przebywali rozpostarła swe cienie noc słotna i burzliwa. Przed domem jednego z największych bogaczy Mesyasz przystanął i rzekł do rebe Gerszona:

— Może przenocujemy tu? Tutejszy rabin w wielkiem poszanowaniu ma dom tego bogacza.

Rebe Gerszon przyświadczył, że ten, do którego teraz wejść mają, posiada opinię pobożnego obywatela.

Ale zaledwie weszli do mieszkania bogacza, usłyszeli na progu głośną kłótnię. Mąż czynił żonie wymówki za to, że bez procentu pożyczyła jakąś kwotę biednej straganiarce. Na prośbę Mesyasza, czyby gospodarz nie pozwolił przenocować im bodaj w komórce, usłyszeli, że tu dla dziadów nie mają miłosierdzia.

— Dostaliście od mojej żony jałmużnę (najdrobniejszą monetą), nie naprzykrzajcie mi się więcej! — zawołał gospodarz, gdy na interwencyę służącej zdecydował się wejść do kuchni i posłyszeć, o co chodzi.

Rebe Gerszon nasunął nizko na oczy kapelusz, żeby go nie poznano. Czuł coś takiego, jakby waliły się na niego wielkie ciężary. Gospodarz był jego sąsiadem w bożnicy a rabin błogosławił ich kiedyś, by i na tamtym świecie sąsiadowali z sobą.

— Wyjdźmy stąd — szepnął Mesyasz.

Wstąpili jeszcze do kilku takich domów, obeszli mieszkania wszystkich bogaczy, ale nigdzie nie znaleźli miłosiernego przyjęcia.

Te kilka cyfr, będące poniekąd obrazem martyrologii naszych „pięknych dworków wiejskich,“ co to, według jednego z najwybitniejszych ziemian ostatnich czasów, zawsze wznosiły się o wiele wyżej nad wszelkie kominy fabryczne, dla mnie są objawem pocieszającym: znikają niedołęgi, co skutkiem wymagań czasu, czy też własnego niewyrobienia mogli jedynie uznawać straszne hasło: „ni żyć, ni umrzeć,“ z dnia na dzień przewlekając nadzieją rozpaczliwą wegetacyę, a na ich miejsce wchodzą rzesze młode, ruchliwe, świeże, które być może nowy ład i nowe życie stworzą w tej dziedzinie. Że to nie są marzenia płonne, że parcelacya to nie najście dzikich wandalów na świątynię kultury narodowej, niech choć w części zaświadczy te kilka na chybił trafił zebranych wiadomości:

Gazeta Kielecka donosi, że we wsi Deszno, w pow. Jędrzejowskim, utworzyła się spółka włościańska na wzór miechowskiej „Jutrzenki.“ Do spółki deszyńskiej przystąpiło 40 włościan ze wsi okolicznych. Zadaniem spółki jest podniesienie kultury ziemi przez wprowadzenie płodozmianów oraz wspólnych zakupów i sprzedaży dla uniknięcia wyzysku pośredników. Za złożone przez udziałowców pieniądze spółka sprowadziła 10 pługów żelaznych Sucheniego, zaprowadziła w 6 gospodarstwach włościańskich płodozmiany, uregulowała zbyt cieląt po znacznie wyższej cenie, niż dawniej, dostarczyła kilkanaście cieląt rasowych oraz sprowadziła 4 wagony węgla. Obecnie przystąpiono do zakupu szlachetnych gatunków zbóż.

W *Gazecie Lubelskiej* czytamy: Dnia 10 września w kancelaryi rejenta Egiesdorfa w Garwolinie zawarto spółkę włościańsko-rolniczą pod nazwą „Nadwiślanka Garwolińska.“ Spółka ta, wzorowana na miechowskiej „Jutrzence,“ na początek tworzy grupę 24 mniejszych i większych posiadaczów rolnych, jest oparta na udziałach 10-rublowych; cel spółki: nabywanie ulepszonych zbóż, maszyn i narzędzi rolniczych, poprawa rasy bydła i koni i zbyt wyprodukowanych przedmiotów.

Podobną wiadomość, o założeniu spółki włościańskiej w pow. Kozienickim podaje *Gazeta Radomska*, tak że na ogół nie mamy najmniejszego powodu do zmartwienia. Początki bywają zwykle trudne i przykre często, ale życie społeczeństwa i narodu rozciąga się na lat setki; tymczasowe zawody i nierówności znikną bez śladu, a nowa fala społeczna przyjdzie i spełni swoje przeznaczenie historyczne. Chłop polski to materyał twardy i niełatwo go zgnębić; w dziejach naszych kilkakrotnie zresztą dał dowody niezmiernej niepożytości.

Tymczasem jednak trudno nie zaznaczyć wielu a wielu braków w jego życiu. *Tydzień* i *Gazeta Lubelska* zwróciły np. uwagę na „rozjarmarkowanie“ się naszego ludu po wszystkich miastach i miasteczkach. Te jarmarki, urządzane, zdaniem pism wymienionych, zbyt często, odrywają ludzi od pracy w polu, powodują wyludnianie się wsi całych, a następnie liczne straty materyalne przy kieliszku, oraz wyzysk ze strony całych band handlarzy jarmarcznych, zastawiających na chłopa przeróżne pułapki. Zdaniem mojem, „rozjarmakowanie“ jest koniecznym wynikiem życia naszego chłopa na wsi. Czy ci, co tak powstają przeciw temu objawowi, nawet wołają do władz o przykrócenie tej rzekomej swawoli, rozumieją, że jarmark lub odpust, to dla chłopa naszego cała rozrywka, jedyna możność zetknięcia się ze światem po za wsią rodzinną? Chłop nie ma gazet, nie ma klubów, resurs i towarzystw sportowych, nie może odbywać podróży i wycieczek, jako turysta, dlatego też wyprawa na jarmark musi mu zastąpić wszystko. Uczyńcie to szare, monotonne a tak ciężkie życie naszego chłopa więcej urozmaiconem, podnieście jego kulturę, dajcie mu możność zdobycia oświaty, rozwinięcia swych potrzeb umysłowych, a wsie nie będą się wyludniały w dzień jarmarku w poblizkiej mieścinie, chłop przestanie zbierać nowiny i szukać rozrywki przy kieliszku i w pogawędce z kumami.

Przenosząc się myślą ze wsi do miast naszych na prowincyi, z prawdziwą przyjemnością zaznaczę wzmożony ruch w kierunku samopomocy, podkreślany przeze mnie już dawniej w „Rachunkach.“ Doczekaliśmy się organu wszelkich stowarzyszeń samopomocy w *Gońcu Handlowym*, a gazety wciąż przepełnione są wiadomościami o zawiązujących się nowych spółkach i wszelkich organizacyach samopomocy. Potrzeba wywołała utworzenie przy warsz. oddziele Tow. przem. i handlu komisyi kooperacyjnej dla wszechstronnego zbadania działalności tego rodzaju instytucyj w kraju. Nowa komisya zakreśliła sobie bardzo szerokie pole działalności, mającej na celu ujednostajnienie czynności różnorodnych stowarzyszeń samopomocy. W prasie widzimy ożywioną polemikę w sprawie rozmaitego rodzaju stowarzyszeń, których wciąż nowe typy pokrywają nasz kraj. Jedno z pism wyraziło nawet obawę, czy to nie jest przypadkiem wynikiem mody, podsycanym słomianym ogniem zapału, co wkrótce zgaśnie, grzebiąc w popiele wiele dobrych chęci i różowych nadziei. Że jednak idea samopomocy zaczyna głęboko wżerać się w umysły szerszego ogółu, dowodzi bardzo ciekawy artykulik Jacka z Kuźnicy, „robociarza,“ jak autor sam siebie nazywa, który, zamieszczony w *Kuryerze Sosnowieckim*, został powtórzony z uznaniem przez *Gazetę Rzemieślniczą*. W artykuliku tym rozbierany jest i krytykowany ostro projekt, podany przez jeden z tygodników postępowych, utworzenia patronatów dla opieki nad członkami ochotniczych straży ogniowych, którzy ulegli wypadkom podczas pełnienia swych obowiązków. Zamiast patronatów, trącących jałmużną, autor proponuje utworzenie ogólnej kasy pomocy wzajemnej, lub też powszechne ubezpieczanie się w towarzystwach.

Cóż jeszcze z życia prowincyi warto zanotować?.. A no będę chyba wraz z *Gazetą Kaliską* ubolewać nad brakiem u nas opinii publicznej, przed której wyrokami drżeliby wszyscy. Brak ten, objaśnia rzeczona gazeta źródłami, z których nasza opinia bierze początek. Temi źródłami są zebrania towarzyskie, a więc atmosfera bardzo mało sprzyjająca rzeczowemu traktowaniu jakiejkolwiek kwestyi, gdzie trzeba przytem dodać, opinia nasza urabia się nie na podstawie dokładnych, krytycznie rozpatrzonych faktów, lecz na zasadzie wersyj lub plotek, mniej lub więcej odbiegających od rzeczywistego przebiegu danej sprawy.“ W takich warunkach — powiada *Gazeta* — ostateczne wnioski muszą znacznie się różnić, tembardziej, że na sądy poszczególnych kółek towarzyskich niemały wpływ wywierają rozmaite względy koteryjne, sympatye lub antypatye osobiste, zwykle niknące po przeniesieniu rozpraw na szersze, z konieczności neutralne pole.“

Z powyższem twierdzeniem najzupełniej można się zgodzić. Wykluwanie się opinii publicznej na zebraniach towarzyskich jest bezpośrednim skutkiem wciśnięcia naszego życia publicznego w ciasne ściany salonów i niestety, dopóki ono z tych salonów nie wypłynie zwartą falą na szersze przestrzenie, dopóty będziemy społeczeństwem bez opinii publicznej; będziemy ją mieli trwożliwą, niepewną swego zdania, a co za tem idzie, cofającą się bezustannie i łaskawą nad wyraz.

Inny smutny objaw odbija się na łamach *Ech Płockich i Łomżyńskich*. „Jak to czytelnicy zauważyli — czytamy tam — staliśmy się w ostatnich czasach przedmiotem napaści, na szczęście takich wydawnictw, od których ogół, uświadamiający sobie choć cokolwiek rozwój życia i stosunków społecznych, odwraca się z niesmakiem.“ Otóż te wydawnictwa wytworzyły opinię, która podjęła zadanie zwalczanie cytowanego organu. „Donoszą nam życzliwi—czytamy dalej — że na zebraniach parafialnych, to-

---

Kiedy zaś mijać już mieli miasteczko, Mesyasz zwrócił się twarzą ku miejscu, skąd przychodzili i, wznosząc ręce, jakby do błogosławieństwa, zawołał:

— Niechaj każdy z tych bogaczy będzie najstarszym w kahale i rządzi tą gminą!

Zdumiał się rebe Gerszon i, nie mogąc powstrzymać oburzenia, wybuchnął:

— Nassi!.. Jakże ty możesz błogosławić tych ludzi, którzy okazali tyle złości?

A na to odpowiedział mu Mesyasz:

— Błogosławieństwem nazywasz to, co stanie się przekleństwem. Gdy ta gmina wyniesie ich na zaszczytne stanowisko zarządców i kahalników, zamieszanie i niezgoda podkopią dobryt tych bogaczy; zawiść zniszczy na popiół ich serca, bo każdy będzie chciał być najstarszym w gminie.

Poszli dalej.

Na olbrzymiej przestrzeni rozpoczęta była budowa, do której przygotowano już surowy materyał budowlany. Wybierano ziemię pod fundamenta. Nieopodal stała szopa, w której miał nacować stróż, najmowany do pilnowania narzędzi i zwożonego na budowlę materyału.

— Przenocujemy w tej szopie — rzekł Mesyasz i zastukał w bramę.

W tej chwili napadli na niego jacyś ludzie i poczęli szarpać na nim odzież, biorąc go widocznie za złodzieja, który chciał się tu zakraść na noc. Bandzie napastników przewodniczył właściciel tej budowli. Sam on pilnował swego dobytku dniem i nocą, nie dowierzając nikomu.

— Jesteśmy biedni pielgrzymi i chcielibyśmy w tej szopie przenocować — rzekł Mesyasz, gdy wreszcie udało mu się uspokoić napastników.

Ale skąpiec wyśmiał go tylko i kazał mu iść precz.

Wtedy Mesyasz zakrył wszystko dokoła gęstym obłokiem, a kiedy nazajutrz przybyli do pracy mularze, zobaczyli, że po nad fundamentami, które założone już były pod całą budowę, wznosi się mur na pół metra wysoki.

Ucieszony skąpy właściciel chwaląc się, że w spółce z nim są moce niebieskie, nie chciał nawet wypłacić robotnikom należnej kwoty, do której mieli prawo; byli bowiem ugodzeni do budowy nie od dniówki, ale ryczałtowo.

Oburzony tem wszystkie rebe Gerszon, nie mógł już dłużej zapanować nad sobą i niepomny, że pytać i badać mu nie wolno, zawołał:

— Nassi!.. I to nazywasz sprawiedliwością Bożą? Ten bogaty skąpiec, który dręczy ludzi, zależnych od niego, posiada właśnie owo ślepe szczęście, którego sobie wprost wytłomaczyć nie możnał.. We wszystkiem mu się wiedzie, to też on drwi teraz z dobrej wiary prostaczków; bałamuci ich zdrowy rozsądek, ogłupia zabobonem!..

— Kto mądry, zbałamucić się nie da — odparł Mesyasz spokojnie. — Ten skąpiec raczej stracił, aniżeli zyskał na tem szczęściu, które go właśnie spotkało. Gdyby dziś robotnicy, zajęci przy zakładaniu fundamentów, kopali dalej w głębi ziemi, byliby odkryli skarb, który stałby się własnością tego, do którego budowa należy. Czy miałem dopuścić, aby ten skarb dostał się w ręce złego człowieka? Kiedyś ten dom, który właśnie budować zaczęli, stanie się własnością dobroczyńcy ludzkości i skarb pod tymi murami ukryty, zużytkowany będzie na cele ogólno ludzkie. Widzisz więc, że to, co ludzie szczęściem zowią, bywa

warzyskich itd. prowadzi się obecnie owa kampania przeciw nam.“

Przebija się tu owa ohyda naszego życia prowincyonalnego, co nosi imię prywaty, co, bez względu na uczciwość środków, na godność haseł, pod które się podszywa, mści się dotkliwie, pozbawiając przeciwnika możności istnienia i nie spoczywając dopóty, aż go wdepcze w błoto. Kto miał choć krótką styczność z pismem prowincyonalnem, ten wie, ile ta prywata przynosi szkody w życiu tego odłamu prasy w tych strasznych i ciężkich warunkach, w jakich każdy organ prowincyonalny musi wychodzić. Kampania przeciwko *Echom* jeszcze tem większym wstrętem przejmuje, że rozpoczęły ją pisma, co mają czelność „chrześciańskiemi“ się tytułować, co na każdym kroku bluźnią nadużywaniem imienia, które każdy człowiek bez względu na wyznanie i przekonania religijne ze czcią wspomina.

Tak, dużo, dużo chwastów na wdzięcznej i obiecującej niwie naszego życia prowincyonalnego.

J. Dąbrowski.

LISTY GALICYJSKIE.

Rezolucya klubu demokratycznego. — Ze zgromadzeń ludowych. — Związek przemysłowców fabrycznych. — Szykanowanie wychodźców.

Klub posłów na sejm krajowy i do Rady państwa, najniewłaściwiej nazywający się klubem posłów „demokratycznych,“ a w gruncie będący zbiorowiskiem różnych żywiołów umiarkowanie liberalnych i zlekka opozycyjnych, powziął po długich rozprawach uchwałę, której pewne pisma przypisują wielką doniosłość. Uchwała ta, która ma być przedstawiona polskiemu Kołu sejmowemu, chce wytknąć drogę działalności „stronnictwa demokratycznego polskiego“ i z tego względu uważana jest przez wielu za doniosłe oświadczenie polityczne. Wiąże się zaś z obecną chwilą krytyczną, jaką przeżywa monarchia Habsburgów. Zdaniem posłów demokratycznych przesilenie teraźniejsze jest koniecznem i przewidywanem następstwem oparcia ustroju konstytucyjnego na podstawie nienaturalnej, bo nieodpowiadającej składowi tego państwa, które łączy w sobie różne narodowości i różne indywidualności historyczne. Instytucye, zrodzone z konstytucyi grudniowej, nie zdołały wytworzyć w niem koniecznej harmonii między częściami składowemi, a nie uwzględniając ich historyczno-politycznych właściwości i odrębnych potrzeb, zatamowały ich swobodny rozwój. Zbyt rozległe pole działania Rady państwa spycha równorzędne z nią sejmy krajowe na stanowisko podrzędne, a rząd centralny i parlament korzystają z każdej sposobności ścieśnienia nawet tego szczupłego zakresu, jaki sejmom przyznał § 12 ustawy zasadniczej.

W dalszym ciągu uchwała dowodzi, że wspólna reprezentacya centralna nie odpowiada wyznaczonym jej zadaniom, nie może już nawet prawidłowo funkcyonować i utraciła należną jej władzę i powagę, przez co ustrój konstytucyjny staje się fikcyjnym, prawa obywatelskie nie mają należytego ubezpieczenia, a rośnie tylko siła obcej potrzebom kraju biurokracyi. Antagonizmy narodowe i społeczne zaostrzają się coraz bardziej, występując w parlamencie i po za nim w sposób coraz gwałtowniejszy. Wielkie zagadnienia państwowe, zarówno wewnętrzne, jak i zewnętrzne, nie mogą się doczekać prawidłowego załatwienia konstytucyjnego. Życie polityczne i ekonomiczne jest w stanie zabójczej niepewności już nietylko o dalszą, ale i o najbliższą przyszłość. Ażeby uzdrowić państwo z tej niemocy, niedosyć małych środków bieżącej polityki, sztuk i wybiegów rządzenia, należy usunąć organiczne przyczyny choroby.

Rezolucya przewiduje, że zbliża się właśnie moment przeobrażeń wewnętrznych państwa i monarchii, które muszą sięgnąć do podstaw i znaleźć nową formułę współbytu krajów i narodów Austryi, Galicya zaś nie może się narazić na niebezpieczeństwo, że przeobrażenie to dokonać się może po za nią lub przeciw niej. I dlatego musi ona jako zadanie swej obecnej polityki przyjąć dawny program istotnego, rzetelnego samorządu ustawodawczego, wychowawczego, administracyjnego i skarbowego, z reprezentacyą krajową, na szerszej niż dziś podstawie wyborczej opartą, a wyposażoną takim zakresem prawodawczym i kontrolującym, któryby parlamentowi centralnemu zostawił tylko sprawy niezbędnie wspólne, z rządem krajowym, z systemem skarbowym, dającym środki dostateczne do spełnienia zadań autonomii i do ekonomicznego i kulturalnego podźwignięcia kraju z wielkiego zaniedbania.

Otóż do urzeczywistnienia tych żądań dążyć będą posłowie demokratyczni. W jaki sposób? Na to uchwała odpowiada stylem Pytyi: „środkami, jakie każdoczesna sytuacya wskaże.“

Ogólnikowość i niejasność całej rezolucyi jest wynikiem ugody pomiędzy najróżnorodniejszymi żywiołami, podszywającymi się pod nazwę „demokracyi.“ Używa ona wyrazów, których treść jest najzupełniej nieuchwytna, które można tłomaczyć, jak się to komu żywnie podoba. Rozszerzenie autonomii dzisiejszej da się wtłoczyć w jej ramy tak samo, jak osławione „wyodrębnienie Galicyi“ w wykładzie reakcyonistów narodowo-demokratycznych, albo na wet federalizacya Austryi czy to na podstawie samorządu prowincyj, czy też żywych narodowości. Tylko „demokratyczności“ uchwały nie można mierzyć szeroką miarą. O najbardziej palącem zagadnieniu całego życia politycznego, o dopuszczeniu do głosu szerokich mas ludności mało się z niej dowiadujemy. „Szersza niż dotychczas podstawa wyborcza“ reprezentacyi krajowej nie daje nawet przedsmaku V kuryi, tego badeniowsko-austryackiego dziwoląga. Bo i cóż panów „demokratów“ galicyjskich obchodzą interesy ludu!

Zresztą jakoś on radzi sobie i bez panów „demokratów.“ Oto we Lwowie zostało zwołane olbrzymie zgromadzenie ludowe, które oznajmiło zebranym w gmachu sejmowym „demokratom“ i niedemokratom, jakie są jego żądania i dążności.

Na porządku dziennym zebrania stała sprawa stosunku sejmu lwowskiego do ludu. Przedstawił go p. Hudec, radca miejski i jeden z przywódców tych mas, które przy wyborach do parlamentu posiadają bodaj V kuryę. Powitany grzmotem oklasków, mówił: Znowu zeszliśmy się dzisiaj w dniu otwarcia sejmu i przypominamy zgromadzonym tam panom żądanie, by nam otworzyli jego podwoje, a przypominamy to dziś z większą niż kiedykolwiek siłą. Byliśmy kiedyś zdania, że z chwilą gdy Rada państwa, zmuszona do liczenia się z głosem szerokich mas ludowych, dała przynajmniej piątą kuryę, i sejm ludowi miejskiemu da prawo głosowania. Ale najbardziej optymistycznie usposobieni musieli doznać zawodu, bo dla szlachty co innego centralny parlament, o którym zresztą mówić może, że tam potwarze rzuca poseł opozycyjny, a co innego sejm, który nie jest przecież niczem innem, jak wielką radą powiatową szlachty galicyjskiej. Dzisiejsza sesya sejmowa rozpoczęła się znowu w znanej nam atmosferze Badenitów, a w wypowiedzianej przez marszałka krajowego wielkiej mowie programowej niema ani słowa o tem, iż należałoby się zastanowić, czy obecna ordynacya wyborcza jest sprawiedliwą i czy nie powinna być zmienioną. Pan marszałek powołuje się na pana Potockiego, jako na dobrego znajomego, a pan Potocki odwzajemnia się komplimentami i wyraża przekonanie, że współ-

---

tylko utratą czegoś lepszego. W tym wypadku wchodziły w grę pieniądze; bywa też, że o coś droższego toczy się walka i nie zawsze ten zwycięża, kto z pozoru wygrywa.

Rebe Gerszon zawstydził się niewczesnego oburzenia i przyrzekł patrzeć odtąd spokojnie na to, co czynić będzie Mesyasz.

Była już godzina blizka południa, gdy dotarli do najbliższej wioski.

Weszli do pierwszej chaty, co stała przy drodze.

— Wnętrzności moje odczuwają już głód i pragnienie — skarżył się rebe Gerszon.— Patrz, co za nędza wokoło. Ani odpocząć gdzie, ani się czem pożywić. Chata nawpół rozwalona; nigdzie stajenki, ani obory. To mieszkanie nędzarzy.

— U biednych znajdziesz większą litość, aniżeli u bogaczy— rzekł na to Mesyasz.

Było to prawdą, jak się okazało. Gospodarz tej chaty przyjął ich grzecznie i prosił, by wypoczęli na ławie. Właśnie najstarsza córka upiekła podpłomyk i wydoiła kozę. Ofiarowano im po kubku mleka i podzielono się podpłomykiem. A kiedy rebe Gerszon wahał się, czy przyjąć te dary, ofiarowane z uszczerbkiem dzieci, gospodarz rzekł:

— Jedzcie proszę i nie zawstydzajcie nas.

— A dużo macie dzieci? — spytał rebe Gerszon.

— Ośmioro ich jest, teraz dziewiąte przyjdzie.

Wtem rozmowę przerwał straszny krzyk rodzącej kobiety i gospodarz wybiegł do komory.

— Śmierć czyha nad matką tych dzieci — szepnął Mesyasz.

Dał znak rebe Gerszonowi i z nim razem prędko opuścił izbę.

W sionce, za przegródką ze starych desek, żałośliwie beczała koza, jedyne bogactwo tych nędzarzy, karmicielka najmłodszych dzieci, bo je żywiła swem mlekiem. Mesyasz pochwycił nóż i jednem cięciem rozpłatał żałośliwe bydlę na dwoje.

Rebe Gerszon oniemiał z przerażenia. Gdy odzyskał głos, zdołał tylko wyszeptać:

— Dlaczego ta niesprawiedliwość?.... Dlaczego?...

— Odmienną od ludzkiej jest sprawiedliwość Boża — odparł na to Mesyasz spokojnie. — Nie możesz jej pojąć i zadajesz pytania, których czynić ci nie wolno. Po raz ostatni tłomaczę ci przyczynę tych skutków, jakie dojrzeć pragną oczy twoje. Oto w wyrokach Niebios zapisanem było, żeby te dzieci straciły matkę-żywicielkę swoją, co je karmiła swem mlekiem. Mówiłem ci, że śmierć czyha na ich matkę, która oto rodzi tak ciężko tam, w komorze. Zabiłem kozę, by żyła dalej matka-rodzicielka. A teraz powiedz, czy wobec nieszczęścia, jakie groziło tym ludziom, strata, którą ponieśli, wyda ci się jeszcze tak wielką? Pamiętaj o tem, że bywają nieszczęścia, które są wybawieniem człowieka od straszniejszej niedoli. A teraz wracaj do domu, bo odtąd musiałbyś w milczeniu patrzeć na wszystko, co czynić będę. Umarłbyś z żalu, nie mogąc zaspokoić dręczących cię pytań.

nemi siłami będą pracowali „dla kraju,“ czyli że zasiadająca w sejmie szlachta pragnie jeszcze głębiej, niż dotychczas, ugruntować swoją gospodarkę. Dlatego trzeba, aby protest ludu, okrzyk głęboko odczutej krzywdy, odbił się głośnem echem o mury sali sejmowej i przypomniał tym panom, że my czuwamy. Pokazaliśmy przed laty dziesięciu, kiedy walka o powszechne głosowanie do parlamentu doszła do punktu kulminacyjnego, że walczyć potrafimy. A dziś, kiedy wskutek rozporządzenia parlamentu sejm trwa dłużej, musimy donośnym głosem upominać się, aby w tej sesyi i o nas pamiętano. Bo do niedawna jeszcze sejm zbierał się na t. zw. trzydniówkę dla przepytlowania tylko budżetu, który zwykle uchwalano między jakimś rautem a balem. Wobec rozprzężonych w państwie stosunków, wobec niepewnego jutra sejm tem bardziej powinien się zastanowić nad tem, co będzie w najbliższej przyszłości i czyby nie należało środowiska życia politycznego przenieść do kraju. Na publicznych posiedzeniach i w prasie prowadzi się dyskusyę nad kwestyą „wyodrębnienia“ Galicyi, nad sprawą rozszerzenia samorządu, nad tem, aby tu w kraju prano brudy galicyjskie. Na to my oświadczamy, że jeżeli w wyodrębnionej Galicyi sejm ma być takim, jakim jest dzisiaj, bez zrównania nas wobec prawa jako obywateli, to będziemy najżywiej, najgorliwiej i najoporniej protestowali przeciwko temu.

W dalszym ciągu mówca zastanawia się nad kwestyą, co zrobił ten sejm, który od pół wieku ma pretensyę być jedynym naszym parlamentem. Popatrzmy — mówi — na rezultat działalności tych panów, którzy przecież pod zmienioną firmą tylko tworzą Koło polskie z Wiednia i tam tak strasznie „pracują“ dla dobra kraju. Toć to ci sami, dzięki którym w kraju jedna gałąź przemysłu usycha za drugą, dla których interesu nastąpiło zamknięcie granisy rosyjskiej i rumuńskiej, by nie wprowadzono tańszego bydła. Jednacy są oni i w sejmie i w parlamencie, w radzie powiatowej i w wydziale powiatowym; jednacy — czy to jako starostowie, czy jako naczelnicy różnych instytucyj finansowych i ekonomicznych. Cały kraj opanowali i interes własny wszędzie i zawsze stawiają po nad wszystko.

Spojrzmy na rezultat ich prac! Tysiące ludzi staje u progu zimy przed widmem głodu. Czy panowie, tak gospodarujący, uczynili co, aby w kraju, który nie może, dzięki im, już wyżyć z rolnictwa, zakwitł przemysł? Czy pomyśleli o inwestycyach? Czy wydostali coś na ten cel od rządu tak, jak to zrobili posłowie innych krajów? Nic! I tę nieszczęsną swoją gospodarkę prowadzą dalej, nie bacząc na to, że sami muszą już w najbliższej przyszłości stanąć nad przepaścią. W całej ich pracy sejmowej niema ani jednej ustawy, obliczonej na dobro ludu roboczego, ani jednego aktu ochrony społecznej, to też lud nie ma żadnego zaufania do tego sejmu i od niego niczego się nie spodziewa.

W końcu mówca zapowiada, że lud nie spocznie, dopóki nie otrzyma wstępu do sejmu. Wśród powszechnego entuzyazmu przyjęto jednogłośnie uchwałę oświadczającą się za powszechnem, bezpośredniem, równem i tajnem głosowaniem.

Podobne zgromadzenia odbywają się obecnie w różnych miastach Galicyi, a wszędzie lud domaga się gruntownej reformy wyborczej, wszędzie też protestuje przeciwko narodowo-demokratycznej formie „wyodrębnienia Galicyi.“ Tę ostatnią sprawę poruszył też p. Daszyński, rozpocząwszy od Tarnowa podróż poselską po kraju, przerwaną chwilowo wskutek nagłego zwołania parlamentu.

W Tarnowie, w mieście, które do niedawna jeszcze było twierdzą klerykalizmu, na zgromadzenie posła skrajnie opozycyjnego napłynęło tyle publiczności, że połowa co najmniej z braku miejsca musiała powrócić do domu, nie usłyszawszy mówcy. P. Daszyński roztoczył obraz obecnego położenia, przedstawiając przyczyny powszechnego niezadowolenia we wszystkich dziedzinach — ekonomicznej, narodowej i politycznej. Zestawiając ordynacye wyborcze — parlamentarną i sejmową, z rozkładem ciężarów podatkowych, wykazał, że największe brzemiona a najmniejsze prawa ma lud, szlachta zaś odwrotnie. Posła klerykalnego, wybieranego przez 20 ludzi zadowolonych, nie może nic obchodzić bieda mas szerokich. A przy obecnej ordynacyi wyborczej rządzą w państwie i kraju ci właśnie ludzie; nie troszczą się oni naturalnie o potrzeby ludu, tonącego w nędzy, pozbawionego wszelkiej opieki i ochrony społecznej. Co do podniesionego przez demokratów narodowych hasła wyodrębnienia Galicyi, zapytuje mówca, w jaki sposób może ono usunąć przyczyny obecnego zła? Wszak w kraju są Rusini, którzy nie zechcą być zdani na łaskę i niełaskę szlachty polskiej; są Żydzi, których nie można pozostawić na łaskę i niełaskę pierwszemu lepszemu antisemicie. Ucisk nieprawia nietylko ciemiężonego, ale także i ciemięzcę. Czy rządzący dziś u nas w Galicyi stworzą przemysł w wyodrębnionej Galicyi? Czy w niej będzie się także fałszowało wybory, rozpędzało zgromadzenia, konfiskowało pisma? My w myśl naszego programu chcemy dać zupełny samorząd każdej narodowości i na tem polega różnica między nami a demokratami narodowymi, że my żądamy wyodrębnienia nie Galicyi, ale całego żywego narodu polskiego w Austryi, że chcemy ludowi polskiemu dać pełne prawa.

W myśl tego przemówienia uchwalono rezolucyę, domagającą się powszechnego głosowania oraz samodzielności narodowej pod warunkiem zupełnego równouprawnienia i samorządu ludu i nieuciskania innych narodowości.

Świeżo powstała nowa organizacya, która może odegrać pewną rolę w naszem życiu ekonomicznem. Mam na myśli „Centralny związek galicyjskiego przemysłu fabrycznego.“ Nie jest to przedsiebiorstwo zarobkowe, ale przedstawicielstwo zawodowe, na wzór znanego „Bund der öster. Industriellen.“ Z jednej strony „Związek“ ma reprezentować na zewnątrz ogólne interesy galicyjskiego przemysłu fabrycznego, z drugiej — interesy każdego z członków. Do społeczeństwa będzie się odzywał za pomocą swego biura prasowego, informując je o stanie i wartości galicyjskich przedsiebiorstw fabrycznych. Będzie używał wszelkich środków dla rozszerzenia zbytu wyrobów swoich członków w kraju i po za jego granicami, we władzach państwowych i autonomicznych będzie się starał budzić zrozumienie potrzeb przemysłu i skłaniać je do odpowiadającego tym potrzebom stosowania ustaw. Takim jest program nowej organizacyi.

Niewątpliwie „Związek“ może odegrać rolę dodatnią w kraju, gdzie wielki przemysł fabryczny jest jeszcze bardzo słaby i gdzie niedostateczność jego rozwoju pociąga za sobą liczne niedomagania społeczna. Obawiać się jednak należy, czy nowa organizacya kapitalistów nie stanie się jednem z nowych narzędzi wyzysku szerokich mas spożywców i ucisku robotników.

Do „Związku“ odrazu weszła prawie cała śmietanka galicyjskich przemysłowców fabrycznych oraz instytucyj kredytowych, jak Bank krajowy, Bank hipoteczny i galicyjska Kasa oszczędności. Wciągnięto do nowej organizacyi nietylko polskie, ale i niemieckie przedsiebiorstwa fabryczne z Białej i Żywca. Wskutek tego nabrała ona odrazu charakteru „krajowego“ w szerszem znaczeniu tego wyrazu.

Zanim jednak „Związek“ przyczyni się do rozkwitu przemysłu fabrycznego w Galicyi, który będzie dawał zajęcie tym tysiącom mas roboczych, obecnie bezczynnych, ludność bezrolna i małorolna tłumnie ucieka z Galicyi za granicę. Przez jeden tylko Bogumin w r. 1902 przejechało 90,000 osób, w tem przeszło połowa chłopów galicyjskich. Wychodźstwo to, jak obecnie stwierdzono, jest dla kraju nietylko klapą bezpieczeństwa, ale czynnikiem dźwigania się ekonomicznego. Niemal co tydzień przyjeżdżają do tegoż Bogumina osobne pociągi z Hamburga i Bremy, przywożące setki powracających wychodźców, którzy przybywają do domu z uciułanym w Ameryce groszem. Przywożą oni po paręset, a czasem i po parę tysięcy złotych reńskich, ciężką pracą zarobionych za oceanem. Przywożą też wielki zapas doświadczenia, zdobytego w twardej walce o życie, przywożą poczucie godności ludzkiej, sztukę czytania i pisania, nieznaną im przed wyjazdem za morze. Słowem, emigracya zamorska jest czynnikiem wysoce cywilizacyjnym i pożytecznym pod każdym względem, o ile naturalnie nie zechcemy utożsamiać interesów kraju z interesami obszarników, jak to czynią stańczycy, a w ostatnich czasach i demokraci narodowi. Panująca w Galicyi klika obszarników nie przestaje prześladować ruchu wychodźczego.

Jeszcze przed dwoma laty w Boguminie prąd emigracyjny nie spotykał żadnych znaczniejszych przeszkód. Ale niedawno utworzono tam osobny komisaryat policyjny, który począł szykanować wychodźców w straszny sposób. Komisarz policyjny, niejaki Ginaleski, wraz z dwoma urzędnikami i całą sforą agentów, łapie i aresztuje niewinnych ludzi, wrzekomo uciekających przed służbą wojskową. Powszechnie wiadomo, że emigracya proletaryuszy zachodnio-galicyjskich jest emigracyą zarobkową, że wyjeżdżający do Ameryki ludzie na pewno powrócą do kraju. I pomimo to szykanuje się ich w nieludzki sposób.

Daleki.

Wiec drezdeński.

W połowie ubiegłego miesiąca odbył się w Dreznie wiec niemieckiej demokracyi społecznej, na który stawiło się dwustu kilkudziesięciu przedstawicieli oddzielnych związków robotniczych z całych Niemiec i delegatów zagranicznych. Z przemówień wstępnych charakterystycznem jest wystąpienie Wilshire'a, który uskarżał się na położenie partyi w St. Zjednoczonych, gdzie obciążający każde wydawnictwo peryodyczne podatek podniesiono dla czasopisma, wydawanego przez demokracyę społeczną, o 10,000 rubli miesięcznie po nad przyjętą normę, tak iż redakcya zmuszona była przenieść się na terytoryum Kanadyjskie. Obrady, które zajęły trzynaście posiedzeń, obracały się głównie około dwóch spraw — współpracownictwa demokratów w pismach mieszczańskich i przejrzenia programu. Pomimo zapewnień przywódców partyi, że panuje śród niej niczem niezamącona jedność, łatwo wywnioskować można ze sprawozdań, że zebranie było rozpołowione, że wzajemne niedowierzanie zagościła w przeciwnych obozach, nie brak było nawet osobistych wycieczek przeciw poszczególnym jednostkom.

Powodem bezpośrednim do postawienia kwestyi współpracownictwa na porządku dziennym wiecu, był okólnik zarządu partyi, ogłoszony w *Vorwaerts'ie* na skutek skarg kilku towarzyszów. Ponieważ zainteresowani nie byli zadowoleni z tej odezwy

więc cała ta sprawa przeszła pod obrady zjazdu. Stanowisko zarządu streszcza się w postawionym przezeń i złożonym z dwóch części wniosku. Na zapytanie, czy członkowie mogą w charakterze redaktorów lub współpracowników zasilać swoimi artykułami pisma, które nienawistnie lub oszczerczo zachowują się względem ich partyi, zarząd odpowiada przecząco. W drugim wypadku, jeżeli danemu organowi nie można zrobić podobnego zarzutu, to zarząd uważa współpracownictwo za możliwe, o ile ono nie będzie skierowane przeciw partyi. W zobopólnym wszakże interesie leży, ażeby nie zajmowali w takich wydawnictwach stanowisk ludzi zaufanych, gdyż ta okoliczność musiałaby wcześniej czy później doprowadzić do starcia. Próżno niektórzy z uczestników dowodzili, że sprawa nie da się ogólnikowo rozstrzygnąć, ponieważ co do pewnych pism może zajść wątpliwość, do jakiej kategoryi je zaliczyć, żądając, żeby pozostawiono ją uznaniu członków lub przynajmniej, żeby zarząd wyrokował w każdym poszczególnym wypadku. Próżno wskazywano, że jeżeli współpracownictwo literackie w pismach mieszczańskich przynosi szkodę partyi, to nie mniejszą jej krzywdę wyrządzają liczne rzesze, pracujących dla tych pism w charakterze zecerów, roznosicieli itp., a przecież dla tysięcy ludzi jest to jedyny sposób zarobkowania. Nastrój wiecu był radykalny, a wniosek zarządu uważany za *minimum* ograczeń. Przemówienia skierowane były głównie przeciw Mehringowi, znanemu ze swego talentu i zarazem ze swej chwiejności politycznej, któremu zarząd przed niedawnym czasem polecił skreślić historyę partyi, oraz przeciw Bernhardowi i innym, głównie przeciw współpracownikom *die Zukunft.* Najostrzej występował Bebel.

Kilka posiedzeń zajęła sprawa „rewizyonistów,“ którzy przy ostatnich wyborach do parlamentu otrzymali większość mandatów. Oddawna już śród społecznej demokracyi niemieckiej dawało się spostrzedz niezadowolenie ze starego pragramu erfurckiego, mało przystosowanego do zmieniających się wciąż warunków bytu partyi, jej organizacyi wewnętrznej. Bebel, Kautsky, Singer bronili go. Bebel żądał, żeby partya pozostawała niewzruszenie na gruncie zasady walki klas, z obawy przed politycznym oportunizmem, lecz przekonania jego znalazły na wiecu przeciwników Przedstawiciel południowych Niemiec, Vollmar, zwrócił uwagę na charakter dyktatorski mowy Bebla, odmówił mu prawa zabierania głosu w charakterze moralnego przywódcy, zarzucając mu arbitralność w sądach o oddzielnych członkach, chęć narzucania wiecowi swojego zdania i rozdmuchiwania rzeczy błahych. Partya może przedewszystkiem na drodze pokojowej wywalczyć dla siebie prawa, ażeby zapewnić sobie zwycięztwo musi walczyć tym samym orężem, którego używają wrogie jej stronnictwa. Chodzi tylko o sposoby i o środki skuteczniejsze agitacyi wyborczej, o odpowiednie przedstawicielstwo w parlamencie, o organizacyę wewnętrzną partyi, a nie o zasadniczy jej charakter. Przedewszystkiem musi ona dbać o poszanowanie praw mniejszości, o swobodę przekonania, która zagrożona jest dzięki wystąpieniu Bebla. Sądząc z wrażenia, jakie pozostawiło po sobie przemówienie Vollmara, który w swej filipice przeciw teoretykom nazwał Kautsky'ego „niemieckim profesorem, który raczej pozwoliłby, żeby świat zginął, niż żeby jedna cegiełka była wyjętą ze zmurszałego gmachu jego teoryi,“ grupa, domagająca się przejrzenia programu, zapowiada się licznie. Kierownicy jej twierdzą, że partya ma za zadanie ruch, a nie stan niezamąconego spoczynku, i z tej racyi środki walki, które dobre były przed ćwierć wiekiem, dziś nic nie są warte. Powaga Bebla została zachwiana— coraz częściej widzieć można tego weterana społecznej demokracyi niemieckiej w szeregach mniejszości. Ten, który przez lat czterdzieści był jedynym doradcą partyi, świadkiem jej rozwoju, dziś nie czuje się na siłach poprowadzenia za sobą trzechmilionowego tłumu. Według Kautsky'ego drobne ustępstwa, jakie demokracya otrzymała od parlamentaryzmu, raczej krzywdę jej przynoszą, ponieważ osłabiają ducha wojowniczego i odwracają uwagę od zaostrzającego się wciąż starcia interesów klasowych. Rewizyoniści twierdzą, że partya nie docenia doniosłości parlamenteryzmu, chociaż coraz więcej środków idzie na agitacyę wyborczą i chociaż demokraci coraz więcej zyskują mandatów. Nie może ona i nie powinna powstrzymać się od zabierania głosu w sprawach, które chociażby pośrednio dotyczą interesów klasy pracującej, jak zarządy celne, polityka kolonialna itp. Wbrew oczekiwaniom prawie jednogłośnie zostaje przyjęty wniosek Bebla, Kautsky'ego i Singera z wielu wszakże poprawkami, dotyczącemi pozostawienia programu i taktyki w dawnej mocy. Zwycięztwo to dotychczasowych przywódców partyi drogo zostało okupione; z głosów, które skierowane były przeciwko wetaranom partyi i jej tradycyi, widać że wiecowi ciężyć już poczyna dogmat walki klas, że raczej duchem skłania się on ku demokracyi francuskiej, która nie odsuwa się od udziału w rządach, dość wspomnieć Millerandа. Ponieważ sam wiec uznał niemoralność środków gwałtownych walki z kapitalizmem, w rodzaju powszechnego zawieszania pracy, więc siłą okoliczności partya zmuszona będzie przenieść swą walkę o prawa dla proletaryatu na grunt parlamentu.

z.

Z kursów akademickich

W SALCBURGU.

III.

Myśl w wykładzie Breysiga gubiła się często w obszernej szacie, z ogromną łatwością gromadzonych słów i urywała, gdy u Toenniesa zdawała się rozsadzać zbyt szczupłe ramy, w które mówiący wtłoczyć ją pragnął. Już w zewnętrznem ugrupowaniu myśli widać było całą różnicę dwóch indywidualności. Breysig szybował po przestworzach, zdając się nie liczyć z różnicami czasu i miejsca — Toennies, zachowując ściśle porządek następstwa wypadków, zaczął starym, profesorskim obyczajem od definicyi. Filozofia społeczna w jego oświetleniu, to badanie istoty i wartości życia społecznego i jego zewnętrznych kształtów. Chęć usprawiedliwienia, a zarazem umocnienia istniejącego porządku powołała ją do życia. U kolebki filozofii społecznej stoi głoszona przez możnych nauka, że prawa i instytucye społeczne są równie jak sam człowiek dziełem Boga, która, choć już starożytność znała wręcz odmienne twierdzenie o zwierzęcym początku człowieka, długo bardzo miała niezaprzeczoną władzę nad umysłami przez swą łączność z wierzeniami religijnemi.

Wieki średnie w poglądach na dzieje ludzkości mało wytworzyły nowego. Człowiek stworzony przez Boga żyje na ziemi według jego przykazań, mrowisko ludzkie buduje owe kształty. Na pierwszym planie staje teraz kościół, dla którego historya, z wyjątkiem historyi Izraela, jest historyą dyabelską. Od opuszczenia raju popadają ludzie w zło coraz to większe, a jednak ich ucieczka, to państwo Boże na ziemi — Kościół. Filozoficzno-społeczne poglądy ojców Kościoła tłomaczy następnie Toennies historycznie zmieniającą się jego rolą przejściem ze stanowiska zaczepnego do odpornego, brak zaś teoryi państwowej w wiekach średnich — przewagą kościoła, który uważa się i za źródło świeckiej władzy. Rywalizując z Kościołem, poczyna i państwo powoływać się powoli na swój nadprzyrodzony początek. Tak powstała nauka o świętem państwie rzymskiem narodu niemieckiego, wiecznem i niezniszczalnem, ostatniem z czterech mocarstw świata.

Protestantyzm, który stworzył Kościół narodowy, podporządkowany państwu, toruje drogę nowym poglądom. Humaniści zwracają się po ideał państwowy do świata starożytnego, negują rozwój ostatnich wieków i wobec pięknego świata Rzymian i Greków marzą o nowem szczęściu. Ich negacya stworzyła pojęcie średnich wieków okresu negowanego, który, zdaniem Toenniesa, dzielącego dzieje tylko na starożytne i nowsze, nie zasługuje na osobne uwzględnienie w historyi myśli ludzkiej.

Utożsamianie panującego z państwem, które znajdujemy jeszcze u Machiavellego, długo, mimo zapłodnienia myśli politycznej, przeszkadzało rozwojowi nauki o państwie. Powstała ona — czerpiąc już z nowych źródeł. Rozwój nauk przyrodniczych podkopał wiarę w „stworzenie,“ które było tak długo punktem wyjścia poglądów społeczno-filozoficznych, a odkrycie Ameryki, gdzie znaleziono ludy tak różne od dotychczas znanych, utorowało drogę do pojęcia rozwoju form współżycia. U Hobbesa zaznacza Toennies genezę nowożytnego pojmowania państwa i Kościoła, *jako instytucyj społecznych.* W miejsce opowieści o raju daje Hobbes ponury obraz stanu ciągłej walki, której państwo zapobiega, a która zupełny swój kres znajduje dopiero w państwie, kierowanem wyłącznie rozumem, usuniętym z pod władzy Kościoła, zastąpionego wolnymi związkami religijnymi. Historya Kościoła traci swe przodujące stanowisko — Toennies ubolewa nad jej zaniedbaniem, tłomacząc doniosłe znaczenie Kościoła dla dziejów kultury, a ustrój polityczny świętego państwa rzymskiego ulega ostrej krytyce (Pufendorf).

Zbliża się epoka oświecenia. U jej progu w ostrych już kształtach rysuje się pojęcie społeczeństwa i gospodarki społecznej, wyodrębnionej i przeciwstawionej państwu i urządzeniom państwowym. Rola i zadania państwa ulegają krytyce z punktu widzenia dobra społecznego.

Indywidualizm fizyokratów, ich motto *laissez faire, laissez aller*, wywierają wpływ stanowczy na społeczno-filozoficzne poglądy współczesnych. Wolność jednostki jest nietylko programem gospodarczym, ale programem filozoficznym i politycznym. Voltaire burzy tradycye i wierzenia swym krytycznym, zimnym rozumem, Rousseau w przeczuciu zagadnień, które znacznie później dopiero wyraziście się zarysowały, rozróżnia przyrodzoną nierówność między ludźmi (sił fizycznych, uzdolnienia umysłowego), od różnic będących jedynie wpływem instytucyj społecznych, które znieść musi przyszły rozwój: powrót do stanu natury. Spotykamy tu zaczątek krytyki prywatnej własności. Toennies daje dokładny obraz społecznych i politycznych poglądów Rousseau'a, a w porównaniu go z Voltairem daje charakterystykę ich obu, przeciwstawiając męzkiej naturze Voltaire'a o przewadze rozumu, kobiecą duszę Rousseau'a.

Wykład Toenniesa, to ciągła analiza krytyczna, wśród której zwolna posuwa się naprzód, dając przytem często porównawcze zestawienia epok i ludzi. Reakcyę wywołaną silnem wstrząśnieniem z końca XVIII wieku, tłomaczy powrót do ideałów średniowiecznych, owo szukanie ukojenia w pieśniach nabożnych i czarownych bajkach — romantyzm, — lecz mówi zarazem,

że nawet gorąca obrona monarchii i Kościoła, nie ich nadprzyrodzony początek, lecz pożyteczność i konieczność ma na uwadze (Lemaitre).

W drugiej połowie XIX w. powracają poglądy z epoki oświecenia, stają się własnością ogółu, ale wzrok wybiega już po za liberalizm, na którym się wtedy opierały. Epokę przejściową stanowi szkoła historyczna, która szerzy znajomość dawnych instytucyj społecznych oraz prawnych i krytykuje podobnie, jak po-kantyści społeczno - polityczne poglądy oświecenia. I znowu następuje zestawienie: w krótkich, jasnych zdaniach maluje Toennies związek między nowoczesną myślą historyczną a filozofią spekulacyjną i stosunek ich do pisarzy XVIII wieku. Wykazuje np. u Fichtego wpływ Rousseau'a, który w dotychczasowej cywilizacyi dopatruje przyczyny zła społecznego, mogącego ustąpić, zdaniem Fichtego, dopiero dzięki nauce i sztuce, do których przyszłość należy i przeciwstawia intelektualizmowi oświecenia uczucie i nieświadomy impuls, kierunek woluntarystyczny filozofii niemieckiej.

We Francyi Saint-Simon wywiera wpływ silny nietylko na historyków (Thierry), ale i na Augusta Comte'a, ojca socyologii, który całą pozytywną wiedzę chce ująć w jeden system. Krytykując konserwatystów, domagających się *tylko* ładu, i liberałów, znających *tylko* hasło postępu, stawia Comte żądanie postępu wśród ładu i ładu wśród postępu. Tego dokonać ma nauka, mistrzyni ludzkości. W krótkiej formułce, mającej dać słuchaczom możność zrozumienia duchowej ewolucyi Comte'a, charakteryzuje go Toennies słowami: „Z Voltaire'a stał się Rousseau'em — przeszedł poniekąd drogę od liberalizmu do demokratyzmu."

Herbert Spencer, jeden z ostatnich może przedstawicieli liberalizmu, stanął niewzruszenie u progu tej drogi. Po okresie wojennym nastąpi, zdaniem jego, okres przemysłowy, oparty na pokoju powszechnym, swobodzie jednostki; po przewadze państwowej — przewaga myśli społecznej. W imię haseł liberalnych odrzuca wszelki przymus, wyznacza państwu rolę „nocnego stróża," przez co staje często w przeciwieństwie z żądaniami społecznemi demokracyi, lecz, zdaniem Toenniesa, który go świadomie bierze w obronę, jest myślicielem zupełnie niezależnym, obcym wszelkim interesom partyjnym. Stworzenie olbrzymiego całokształtu, który objął myślą jedności rozwoju nauki społeczne i przyrodnicze — oto jego niepożyta zasługa.

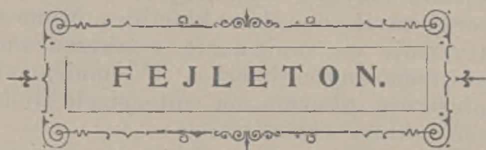
W wykładzie końcowym, wśród napiętego oczekiwania słuchaczów, przedstawił Toennies w głównych zarysach teoryę materyalizmu dziejowego, posługując się głównie cytatami z dzieł Marxa i Engelsa. Nawiązując do słów Engelsa o łączności duchowej niemieckiego ruchu robotniczego z klasyczną filozofią niemiecką, dał jako wstęp zadziwiająco wyrazisty szkic filozofii Hegla, kładąc główny nacisk na pierwiastki przejęte następnie przez Marxa i Engelsa. Wierny swej metodzie charakteryzowania przez porównanie, zestawił jeszcze w ostatniej chwili Hegla, widzącego w państwie urzeczywistnienie myśli moralnej, ze Spencerem, któremu się państwo tylko jako niezbędne zło przedstawia. W materyalizmie dziejowym widzi Toennies wyłącznie metodę badań historycznych, której na podstawie cytat broni przed zarzutem jednostronności, zaś treścią społeczno-filozoficznych poglądów Marxa jest dla niego nauka o walce klas i pojmowanie prawa, jako przejawu stosunków własnościowych.

O własnych swych poglądach społeczno-filozoficznych, znanych z pracy o „Wspólności i społeczeństwie," o Hobbesie itd., napomknął tylko zlekka, a nie chcąc widocznie przed oczyma młodych przeważnie słuchaczy roztaczać swych smutnych na przyszłość wróżb, zakończył wykład serdecznem życzeniem zobaczenia się z nimi w roku przyszłym.

Ujęcie historyi poglądów społeczno-filozoficznych w ramy 10-godzinnego wykładu niemałą przedstawiało trudność, lecz tegoroczny fakultet filozoficzny w Salcburgu krótkim rozporządzał czasem. Jednem słowem musiano nieraz myśl zaznaczyć, ludzi różnych stuleci postawić obok siebie! Zło leżało w szczupłości czasu i obszerności tematów, a i ten list, dający krótki wyciąg nader zwięzłego wykładu, pełen też jest nagłych, karkołomnych skoków, które niechaj również szczupłość miejsca tłomaczy.

Profesorowie ekonomii politycznej mniej trudne mieli zadanie, podróżując wśród lat setek tylko — nie tysięcy. Łatwiej więc będzie podążyć za nimi.

H. G.



LIBERUM VETO.

—•—

Bohdanówkę trzeba kupić.

Domyślić się łatwo, o czem p. Onufry bojaźliwie marzy... Życie przepędził uczciwie i pracowicie. Kiedy w nim „szumiało piwko," czasem w mieście wesoło się pobawił, czasem u siebie na wsi ładną dziewczynę w stan błogosławiony wprowadził, ale to są przywileje młodości, dla których jest wyrozumiałym nawet ksiądz w konfesyonale. Po ożenieniu się bardzo rzadko wracał do dawnych nałogów. Kłopoty bowiem przyrastały z każdym rokiem i wystraszały wszelką płochą myśl z głowy. Z 19-włókowego folwarku trzeba było jednego syna, który nie skończył gimnazyum, wysłać do Fryburga na uniwersytet; drugiego, który nie chciał się uczyć, tylko polował — w kuchni, stodole, oborze, na polu i stawie, oddać do zakładu w Chyrowie; trzeciego, który zdradzał talent humorysty, umieścić jako praktykanta w dobrach hrabiego Gwizdał - Świstalskiego, obie córki, odebrane z zażydzonych pensyj, kształcić w domu — a za wszystkie dzieci drogo płacić. Wobec tych ciężarów p. Onufry nie mógł sobie pozwolić na żaden zbytek, przeciwnie, grzeszył nieraz skąpstwem. Kiedy razu pewnege przy obiedzie najechał go niespodziewanie kulig, złożony z 30 uczestników, okazało się, że tylko dziesięć osób z tego orszaku mogło się pożywić nadmiarem potraw, przeznaczonych dla sześciorga domowników. Jakiś krewniak-liczykrupa miał za złe, że p. Onufry trzyma cztery konie cugowe, ale ta skromna przyjemność była poniekąd wymuszona. Mianowicie ktoś z sąsiedztwa, wyprawiając wesele, przysłał z prośbą o pożyczenie karety, której p. Onufry nie miał. Nietylko więc uczuł wstyd, ale zrozumiał napomnienie, że powinien posiadać karetę, którą też kupił i dla której musiał utrzymywać paradne konie. Jak się to stało, że człowiek tak pracowity i oszczędny zabrnął w długi — trudno wytłomaczyć; a jednakże i hipotekę po nad wartość Bohdanówki obciążył i kwitkami portfele bankierów małomiasteczkowych wypchał. Dzięki temu nieszczęśliwemu obrotowi losu znalazł się w tem położeniu, w którem filozofująca myśl sekwestrowanego Fausta odbywa ruchy wahadłowe między komornikiem a bogatym kuzynem lub kuzynką. P. Onufry miał bezdzietnego stryja, do którego udał się po ratunek. Stary sknera, nakarmiwszy bratanka szczodrze obrokiem duchowym, zapytał:

— A nie masz tam jakich ruin?

— Mam, mam! — odrzekł stroskany szlachcic — stodoła rozwaliła, się w owczarni jedna ściana leży...

— Nie o to mi chodzi: czy nie masz ruin historycznych?

— Historycznych? A skądżeby one u mnie się wzięły?

— To szkoda, wielka szkoda. One mogłyby cię podźwignąć.

Stryj zadumał się — po chwili zaś rzekł:

— A wiesz ty, ja gdzieś czytałem — tylko nie pamiętam gdzie — że w Bohdanówce Bohdan Zaleski stroił swoją lutnię.

— Jakto stroił lutnię? — zagadnął zdumiony p. Onufry.

— No, tak, jak mu się podobało, pod tym ogromnym wiązem, który stoi przy waszym domu. Należałoby to ogłosić, przypomnieć narodowi obowiązek względem miejsca uświęconego drogą pamiątką... rozumiesz?

P. Onufry zrozumiał, odjechał do domu uradowany i prawdopodobnie wkrótce wezwie nas do „ocalenia od zagłady uroczego zakątka, w którym lirnik ukraiński stroił swoją lutnię." I nie zawiedzie się na nas. Bo właśnie teraz jesteśmy w rozpędzie społecznego nabywania folwarków z pamiątkami.

Opowiadano mi, że pewien bankier warszawski miał na hipotece takiego folwarku dość znaczną sumę, której nie mógł odebrać. A ponieważ znajdowały się tam „ruiny," więc rozdmuchał do nich zapał publiczny, przeraził ogół groźbą, że te drogie szczątki mogą przejść w niewłaściwe ręce i uledz zagładzie lub znieważeniu, wywołał składki na kupno i... odzyskał swoją należność.

Ale p. Onufry nie z tego jednego wypadku poczerpnął dla siebie zachętę. Przeczytał on niedawno w pismach alarmujące błaganie, ażeby naród co prędzej kupił Żelazową Wolę, miejsce urodzenia Chopina, gdyż jest ona... do sprzedania, a niewiadomo, czyją stanie się własnością. Naturalnie kupimy ją, ale przewidując niemożliwość szybkiego zebrania składek, musimy pocieszeć się w rozpaczliwej trwodze łagodzącemi ją nadziejami. Mianowicie przypuśćmy ten najgorszy wypadek, że ów pamiątkowy folwark przejdzie od p. X. do p. Z. Przecież chyba p. Z. domu, gdzie stała kolebka Chopina, na złość nam nie zburzy i pomnika nie obali, jest nawet dość prawdopodobnem, że oba uszanuje. Trzebaby rzeczywiście jakiegoś szczególnego zdarzenia, ażeby nowy właściciel Żelazowej Woli znajdował dla siebie przyjemność i korzyść w bezmyślnem niszczeniu tych pamiątek. Nie sądzę również, ażeby on kierował się taką rachubą dewastacyjną, jak obywatel ziemski przed subhastacyą majątku i przez faktora oświadczył nam: jeżeli kochany narodzie nie zapłacisz mi umówionej sumy, to ja w oficynie Chopinowskiej założę kurnik, a figurze pomnika odtrącę nos. Zresztą gdyby nawet tak być miało, to odczepne kosztowałoby nas mniej, niż nabycie folwarku, dla którego musielibyśmy sobie sprawić nietylko ekonoma i rządcę, ale komitet, prezesa, radę nadzorczą, zebrania członków i tym podobne sprzęty, niezbędne do wytwarzania niedoborów. Zdaje mi się tedy, że nie porzucając myśli kupna Żelazowej Woli, bądźmy tymczasem spokojni, że ona z powierzchni ziemi nie zniknie i zwróćmy uwagę na Bohdanówkę, gdzie Zaleski „stroił lutnię" pod starym wiązem, który może być łatwo ścięty.

Nie należy przytem zapominać, że oczekuje nas jeszcze jedna tranzakcya patryotyczna, na którą p. Onufry niewątpliwie się powoła. Przed paru tygodniami — jak donoszą dzienniki warszawskie — „przybiegła do nas wieść Hiobowa," że Poronin ma być sprzedany. Uderzono w płacz. W prawdzie niema tam ani ruin, ani jakiejkolwiek

pamiątki, ale folwark ten leży przy Zakopanem, co chyba stanowi dostateczny powód, ażeby „znajdował się w odpowiednich rękach,“ a nawet stał się własnością narodową, zwłaszcza że podobno „pragnie go nabyć ks. Hohenlohe dla dokuczenia hr. Zamojskiemu.“ Obecny posiadacz tej „perły Tatr,“ p. Uznański, usłyszawszy nasz lament, ogłosił za pośrednictwem *Dziennika Polskiego* we Lwowie, następujący, ostry edykt do narodu: „Ja przed półtora rokiem osobiście oświadczyłem ówczesnemu marszałkowi, a obecnie namiestnikowi, Andrzejowi hr. Potockiemu, że dziś lub jutro przystąpię do sprzedaży Poronina i że uprzedzam go w tem mniemaniu, iż nabytek tego majątku mógłby być pożądany *dla kraju* (bo kraj jest interesowany w ruchu turystycznym w Tatrach), a dla mnie byłby *sympatycznem rozwiązaniem przy dziale familijnym*. Na to otrzymałem odpowiedź, że kraj, nie posiadając gotówki, nie może przystępować do kupna znaczniejszych majątków... Od czasu tej rozmowy z marszałkiem ani kraj, ani nikt w kraju na moją propozycyę nie odpowiedział. Zasięgałem informacyj w Warszawie, ale przekonałem się, że to wielkie i bogate miasto nie znajdzie u siebie potrzebnych kapitałów do inwestycyj w Tatrach.“ Ochłostawszy nas za niedopomożenie mu do „sympatycznego dlań rozwiązania działów familijnych,“ pozwala nam odgadnąć, dokąd się zwróci i dumnie woła: „Czy w takich warunkach ten właściciel ziemi spełnia swoje obowiązki wobec kraju, który przez sprzedaż sprowadza kapitały obce i daje źródło dobrobytu ludności, czy też ten, który dary natury zamienia na kapitał martwy, gdzie ludzie mrą z głodu lub sami do obczyzny wynosić się muszą“? O ile wiem, etyka sprzedawczyków, którzy dotąd w Poznańskiem uciekali chyłkiem przed ścigającą ich opinią publiczną, po raz pierwszy podniesiona została do godności zasługi obywatelskiej. Wobec tego śmiałego zamachu zrzeczmy się pytań, dlaczego p. U. zmieniał dotąd „dary natury na kapitał martwy,“ dlaczego u niego „ludzie marli z głodu lub wynosili się na obczyznę,“ dlaczego chce ich ratować jedynie zapomocą kapitałów obcych i dlaczego „w takich warunkach“ siedzi „na wybrzeżu Quarnera,“ skąd przysłał swoją apostrofę? Są to bowiem sprawy podrzędne. Główna polega na tem, że każdy właściciel ziemi może nas, społeczeństwo, zmusić do kupienia jej pod groźbą sprzedaży obcym lub „niewłaściwym rękom,“ że powinniśmy nabyć Żelazową Wolę, Poronin, a wreszcie Bohdanówkę. Inaczej ściągniemy na siebie wstyd, a na zacnych obywateli kraju kłopoty w „sympatycznem rozwiązaniu“ trudności majątkowych. Oto, panie dobrodzieju, do jak wysokiej doszliśmy kultury moralnej i wzniosłego patryotyzmu!

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

Kłamstwo w życiu dziecka.

—♦—

Współczesna nauka wychowania usunęła z teoryi wychowawczej wiele „zbrodni karygodnych,“ pomagała jej w tem fizyologia. Kradzież, rabunek, zabójstwo, niekiedy i oszczerstwo uznano za objawy patologiczne. Wiemy też, że ten, kto nie umie rozróżnić dokładnie swej własności od cudzej, może się z tem niedomaganiem moralnem narodzić, podobnie jak ten, kto nie umie rozróżnić koloru czerwonego od zielonego. Wobec każdej ujemnej właściwości ludzkiej musimy więc wprzód stwierdzić, czy nie jest ona wadą wrodzoną, dziedzicznie w daną jednostkę przeszczepioną. Mniemanie bowiem racyonalistów XVIII wieku, że człowiek bezwarunkowo „dobrym“ na świat przychodzi, zostało już dawno zbitem. Nie uważamy już duszy dziecka za czystą kartkę papieru, lecz za formę wykończoną.

Tylko jeszcze co do niektórych ujemnych stron natury dziecka utrzymało się fałszywe przekonanie, że np. człowiek rodzi się nawskroś prawdomówny, a jeśli kłamie, to skutkiem złego otoczenia, lub wychowania. Doświadczenie jednak uczy czego innego: znajdziemy dzieci prawdomowne wśród otoczenia, stale uprawiającego kłamstwo i na odwrót: niejeden wytrawny pedagog staje bezbronny wobec faktu, że dziecko najstaranniej prowadzone, jest w gruncie rzeczy naturą nawskroś kłamliwą. Mimo to utrzymuje się mniemanie o przyrodzonej prawdomówności dziecka. To mniemanie opiera się głównie na autorytecie Rousseau'a, który oświadcza:

Tout est bien sortant des mains de l'Auteur des choses, tout dégénère entre les mains de l'homme. *) (Wszystko wychodzi dobrem z rąk Twórcy, wszystko się psuje w rękach człowieka).

O kłamstwie zaś powiada:

Il est donc clair que le mensonge de fait n'est pas naturel aux enfants. **) (Jasnem więc jest, że kłamstwo nie jest przyrodzoną właściwością dziecka).

Jeśli żądamy dowodów stwierdzających hypotezę o przyrodzonej prawdomówności dziecka, to odsyłają nas zwykle do pokoju dziecinnego, każą nam się rozkoszować wynurzeniami „mądrych“ dzieci, tych prawdziwych „enfant terrible.“ A przecież to nie są dowody poważnej miary! Zwykle same matki zestawiają te „mądre“ powiedzenia dzieci. Jeżeli dziecko powie kłamstwo, cała rodzina widzi w tem objaw wyrafinowanej mądrości. Jeśli dla otrzymania cukierka naśladuje ból gardła, bywa też jako „mądre“ wychwalane. Jeżeli nawet wyrwie się z czemś rzeczywiście głupiem, to rodzina przedstawi to także, jako niezwykłą mądrość. Janek np. oświadcza gościowi: mama kazała powiedzieć, że jej nie ma w domu. Wszyscy się unoszą: co za umiłowanie prawdy! Ba, kiedy i ograniczona dziewka mogłaby złożyć ten sam dowód szczerości. Niepodobna nawet dowieść, żeby dzieci w swych nawyczkach i skłonnościach objawiały pociąg do prawdy. Mamki i niańki uspakajają je przecież historyjkami nawskroś nieprawdziwemi — a jak chętnie dzieci tych kłamstw słuchają! Mało wówczas znaczy, czy babcia trzymać się będzie rzeczywistości i prawdy, byle tylko jedno zdarzenie szybko następowało po drugiem. Zaledwo mówić dzieciak umie, a już sam tworzy najnieprawdopodobniejsze historyjki. Rodzice, których taki dowód „inteligencyi“ dziecka zwykle napawa szczęściem, zapominają, że to objawia się zdolność do kłamstwa. Więc człowiek nie rodzi się prawdomównym. A teraz popatrzmy, jak się ta rzecz przedstawia u innych stworzeń, a przekonamy się że i zwierzęta posiadają wielką zdolność do kłamania. Weźmy np. lisa, ten symbol kłamliwości, a także kota. Nawet u niższych typów zwierzęcych znajdujemy rozwiniętą zdolność do okłamywania swego otoczenia. Są owady, motyle, ćmy, które przybierają formę i kolor gałęzi, liścia, ziemi, drzewa itp., by tylko ujść uwagi prześladowcy. Wiele rodzin motyli południowo-amerykańskich przyjmuje kolor rośliny, na której żyją i tylko bardzo wprawne oko odróżnić może motyla od rośliny. Ale i rośliny kłamią. Niektóre orchidee wydają kwiaty w kształcie gąsienic, by się zabezpieczyć od owadów.

Więc zdolność do okłamywania otoczenia istnieje u wszystkich istot, począwszy od człowieka a skończywszy na roślinie. Tylko że rośliny i niższe typy zwierzęce czynią to nieświadomie, wyższe typy z małą świadomością, a ludzie zupełnie świadomie. Przyczyna tego jawną jest u mało rozwiniętych organizmów — ludzie zaś starają się ją ukryć. To walka o byt. Człowiek nie jest wyłączony z tej walki, tylko, że u niego nazywa się ona egoizmem.

Wprzód jednak zajmiemy się samym wyrazem „kłamstwo.“ Wyrazu tego używamy bądź w znaczeniu obszerniejszem, bądź ściślejszem. W znaczeniu obszerniejszem wówczas, gdy przez kłamstwo rozumiemy nietylko to, co słowami wyrażamy, lecz wogóle każdą czynność, mającą na celu wprowadzenie w błąd innych. Możemy jednak „kłamać,“ bez pobudek egoistycznych: np. lekarz, kiedy pociesza chorego, lub kapitan okrętu, kiedy tai grożące niebezpieczeństwo celem uniknięcia paniki. Takie „kłamstwa“ mają tylko wspólną formę z kłamstem egoistycznem, różnią się zaś stanowczo co do swej istoty.

Wobec takiego pojmowania kłamstwa, jako broni w walce o byt, stanowisko wychowawcy musi być bardzo ciężkie, on wie dobrze, że napróżno będzie strzegł dziecko od towarzystwa niegrzeszącego zbytkiem prawdomówności — wszak człowiek posługiwałby się swą bronią naturalną, nawet gdyby się znajdował na samotnej wyspie. Kłamstwa nie można wyuczyć, tak samo jak połykania i żucia. Jest ono przejawem instynktownym, podobnie jak u ptaka budowanie gniazda. Wszak nikt nie uczy pająka jak ma snuć pajęczynę i łapać muchy. Wychowawca musi zatem swe wysiłki tak skierować, by kłamstwo, przyrodzoną broń dziecka, uczynić niepotrzebnem. Wówczas wobec pierwszego kłamstwa dziecka nie stanie, jak przed otchłanią, nie będzie się męczył pytaniem „skąd się to właściwie wzięło“ — lecz zrozumie, że dziecko osiągnęło ten stopień rozwoju, na którym poczyna korzystać z broni, którą wniosło w życie celem polepszenia sobie bytu i uniknięcia przeróżnych nieprzyjemności. Wychowawca pojmie, że w duszy dziecięcej obudziła się chęć życia, której niweczyć nie można i nie potrzeba.

Nasuwa się teraz pytanie, czy wogóle możliwą jest skuteczna walka z niedomaganiem wrodzonem człowiekowi i służącem mu w walce o byt. Odpowiedź na to wysnujemy z porównania z istotami mniej rozwiniętemi. Widzimy bowiem, że przez konsekwentne oddziaływanie można osłabić wybujałości najsilniejszych instynktów u zwierząt. Zwierzęta domowe zatraciły już do szczętu popędy, cechujące ich dzikich pobratymców, obłaskawione — popędy zwierząt, żyjących na wolności. Przeczytajmy, co Brehm powiada o obłaskawieniu lisa, a uwierzymy w możliwość zwalczania najsilniejszych popędów naturalnych. Lecz w jaki sposób można te instynkta wydzielić z istoty zwierzęcia? Oto, stwarzając warunki bytu, w których niepotrzebnem jest posługiwanie się nimi. Wiadomą jest rzeczą, że u ludzi i zwierząt pewne organa wskutek nieużywania marnieją, oczywiście po upływie kilku generacyj. Lecz i w toku jednego życia, w obrębie jednego pokolenia mogą się stać nieużytkami, przez konsekwentne nieużywanie. W klatce przez dłuższy czas więzione ptaki zatracają np. zdolność do lotu. U człowieka to zamieranie pewnych organów przejawia się równie silnie. Ten, kto kilka tygodni przesiedział przy biurku, staje się po upływie tego czasu niezdolnym do odbycia dłuższego marszu; pustelnik zatraca zdumiewająco szybko zdolność płynnego wyrażania się itd. Stąd wynika, że wraz z organami można utracić i popędy, będące

---

*) Rousseau: „Emile au l'Education,“ I p. 5

**) Ibid. II, p. 86.

w nierozerwalnym z nimi związku. Aby więc pewne popędy osłabić, musimy organizm otoczyć takimi warunkami życiowymi, w których korzystanie z owych popędów nie pociąga za sobą polepszenia stanowiska i walki o byt danego organizmu. Te zasady mają też znaczenie wobec skłonności do kłamania. Najdokładniej daje się to widzieć u lisa i psa. Dla psa wierność i szczerość jest warunkiem osiągnięcia jak najlepszego bytu, dla lisa— chytrość i podstęp. Z tego dla wychowawcy wypływa wniosek: nie należy nigdy wprowadzać dziecka w położenie, gdzie powiedzenie prawdy mogłoby się przyczynić do pogorszenia jego bytu. Ta zasada jest kluczem do zwalczenia pierwszych przejawów kłamstwa. „S'il s'est fait en mon absence quelque mal dont j'ignore l'auteur, je me garderai d'en accuser Emile, ou de lui dire: „Est ce vous?“ Car en cela que ferois-je autre chose, sinon lui apprendre à le nier?“ *) Rzeczywiście samo poszukiwanie winnego spowodowało wiele złego; dziecko bowiem, zwietrzywszy niebezpieczeństwo dla jednego ze swych interesów życiowych, staje natychmiast instyktownie na stanowisku obronnem. Pytanie, czy chłopak rzeczywiście nauczył się już lekcyi, napomyka o możliwości skrócenia czasu przeznaczonego na zabawę; pytanie, czy wypracowanie piśmienne jest samodzielnie zrobione, wywołuje upiora złej noty. Dziecko kłamie więc, by utrzymać się na stanowisku. Kłamstwa dzieci są kłamstwami z konieczności, bronią ochronną w walce o byt. Dziecko zajmuje położenie odporne. A ileż to nieszczęść sprowadza upór wychowawcy, który pozwala ochronnej walce dziecka zwyrodnieć w walkę rozpaczy!

Wogóle: kto żąda od dziecka prawdy, musi wzbudzić w niem przeświadczenie, że odpowiedź nie zaszkodzi jego stanowisku. Dziecko musi mieć pewność, że przez swą szczerość położenia swego nietylko nie pogorszy, lecz je utrwali.

„Celui, qui sent le besoin qu'il a du secours des autres, et qui ne cesse d'éprouver leur bienveillance, n'a nul intérêt de les tromper; au contraire, il a un intérêt sensible qu'ils voient les choses comme elles sont, de peur qu'ils ne se trompent à son préjudice.“ **)

Im więcej przepisów, tem więcej uporu, im więcej napadów na zdobyte już pozycye, tem rozpaczliwsza ich obrona, tem więcej kłamstw. Tem się tłomaczy paradoksalne zjawisko, że dzieci warstw zamożnych mimo starannego wychowania bardziej są skłonne do kłamstwa, niż dzieci proletaryatu. Mają one więcej pozycyi do obrony i częściej się znajdują w położeniu dwuznacznem, z którego wyjście wiedzie tylko przez kłamstwo. Biada synowi mieszczańskiemu, gdyby się przyznał, że po wyjściu ze szkoły nie najbliższą drogą wrócił do domu, lub że, broń Boże, z synem dozorcy domu zagrał się w piłkę i przez to spóźnił na lekcyę fortepianu! Ponieważ kłamstwo u dziecka jest częstokroć tylko walką obronną więc, praktyczna pedagogia powinna zająć się tą sprawą. Należy usuwać wszystko, co umożliwia dziecku kłamanie.

Jeżeli jednak mimo środków zaradczych złego wykorzenić nie można, należy je oczywiście ostro karcić. Kamieniem węgielnym postępowania powinno być: kto raz skłamał, temu się nie wierzy nawet kiedy prawdę powie. Trzeba dać uczuć kłamcy, że zamiast poprawienia, położenie swe pogorszył.

Walka z pierwszemi formami kłamstwa nie jest zbyt trudną, ponieważ toczy się wewnątrz „walki o byt,“ a nie zwraca na zewnątrz. Właściwie jest tylko pouczeniem, jak należy wybierać broń w celu utrwalania swych pozycyj życiowych. O wiele trudniejszym jest drugi rodzaj walki z kłamstwem.

Dziecko ogarnął potężny popęd w kierunku rozszerzenia sfery działalności i mocy; namiętnie pracuje ono nad zdobyciem nowych pozycyj życiowych. Co nie jest z niem — jest przeciw niemu. Przeszkody, piętrzące się na tej drodze rozwojowej, usuwa siłą i podstępem. A środków tych używać będzie tak długo, dopóki stara się o rozszerzenie swej osobowości. Kłamstwo jest tu już nietylko środkiem do utrzymania pozycyj życiowych, lecz i do ich rozwoju; kłamie nie w celu utrwalenia tego, co posiada, lecz w celu zdobycia tego, co u innych się znajduje; jak długo będzie w tem stadyum rozwojowem, musi kłamać. Tego wymaga jego instynkt samozachowawczy, kiełkujące w nim „principium individuationis.“

Bezowocnym byłby wtedy trud wychowawcy usiłującego z tej zaostrzonej do niemożliwości walki o byt „usunąć,“ jedną z najobrzydliwszych a zarazem najsilniejszych broni: kłamstwo. Nie może mu dowieść, że walka o polepszenie bytu nie potrzebuje kłamstwa; wszak kłamstwo jest najsilniejszym motorem skrajnych pożądań. Historya dostarcza niezliczonych tego dowodów. Jeżeli więc pragnie sparaliżować kłamstwo, winien postarać się by cele przez nie pozyskiwane, nie budziły pożądliwości. By kłamstwo pokonać, trzeba zniszczyć chęć władzy, posiadania, rozkoszy, zemsty itd. Człowiek musi stanąć na takiem stanowisku, że przestanie cenić szczęście, które zyskał zapomocą kłamstwa i ułudy. Słowa poety: „Gdyby człowiek był prawdomównym, byłby także i dobrym,“ mają w odwróceniu więcej racyi, gdyby człowiek był dobrym, byłby także i prawdomównym.

Jest to stanowisko etyczne, myślicieli zeszłego wieku, począwszy od Kanta. Żądają oni „objektywacyi woli,“ tj. zdolności zajmowania się rzeczami i wypadkami, które nie mają bezpośredniego wpływu na nasze korzyści lub straty. Stąd się wywodzi nieobliczalna pożyteczność zajmowania się naukami przyrodniczemi ze względu na prawdomówność ludzką. Jeżeli nauczyciel patrafi obudzić u ucznia zainteresowanie dla objawów, osobiście go mało dotyczących, zdziała więcej, niż tomy kazań. Podobne usługi wyświadcza przyroda i sztuka.

Kto z wierzchołka góry podziwiał wspaniałe widowisko zachodu słońca, lub wspinał się na wyżyny, gdzie flora zanika a rozpościera się tylko lodowiec, ten przypomni sobie te wrażenia. Jakżeż dalekiemi są wówczas od nas te małostkowe pożądliwości i obawy, jak obcem kłamstwo, stojące w jaskrawej sprzeczności z wyniosłością i świętością otaczającej nas przyrody...

Aby ukochać prawdę, musi człowiek wyzwolić się z błędu: musi myśl swą odwieść od wiecznego przeciwstawiania swego „ja“ otoczeniu. „Najwyższy stopień samopoznania — powiada Schopenhauer — zostanie wówczas osiągniętym, jeżeli się utrwali przekonanie o identyczności wszystkich istot.“ Musimy w otoczeniu dopatrywać się części własnej istoty, a osiągając coraz wyższy stopień poznania, przeniesiemy ten pogląd również i na zwierzęta i rośliny. Otoczenie, jego dobrobyt, będzie ostatecznym celem woli, litość — ostatecznym motywem wszelkiego działania.

Stopień prawdomówności ucznia jest więc dla wychowawcy barometrem, wskazującym, o ile — wedle pięknego orzeczenia Schopenhauera — urzeczywistniły się w nim wielkie misterye etyki, i runęły mury graniczne, dzielące istotę od istoty.

B. M.

*) Rousseau: Emila. S. 88.

**) Ibid. S. 86.

Walka z gruźlicą.

Pośród najgłośniej rozbrzmiewających haseł bojowych współczesnej ludzkości jedno z pierwszych miejsc zajmuje idea niezmordowanego borykania się z tak potężnym wrogiem, jak gruźlica. Do tej chwili człowiek zachowuje ciągle jeszcze stanowisko odporne tylko i nie ma nadziei, aby w bardzo prędkim czasie przeszedł do zaczepnego. Wszystkie najnowsze i najważniejsze odkrycia naukowe na tem polu mają znaczenie zapobiegawcze tylko, bo to samo należy powiedzieć nawet o najnowszych odkryciach dr. Behringa.

Wychodzi on z założenia, że suchoty u człowieka powstają w wieku dziecięcym wskutek przenikania zarazków chorobotwórczych przez błonę śluzową przewodu pokarmowego. O powszechności tej choroby świadczy fakt, że dr. Naegeli w Zurychu nie znalazł ani jednego trupa ludzkiego w wieku lat 30, wolnego od gruźlicy. Wobec tego nie można myśleć o zwalczeniu jej za pomocą odosobniania dotkniętych nią; co najwyżej możnaby usuwać kaszlących suchotników od pozornie zdrowych jeszcze i to nie w zakładach leczniczych, lecz w domostwach.

Pomimo to nie należy wcale rozpaczać i rąk zakładać bezczynnie, ponieważ zakażenie gruźlicze nie stanowi jeszcze wcale suchot; jego powszechność pozwala raczej wnioskować o wyleczalności choroby i to na drodze naturalnej.

Zachodzi pytanie, czy można wogóle zapobiedz ciężkim przypadkom suchot, a w razie ich wystąpienia złagodzić przebieg?

Przed odpowiedzią na to pytanie należy przedewszystkiem zauważyć, że niepodobna mówić o rozszerzaniu się gruźlicy epidemiologicznem, to jest wskutek zarazy, spowodowanej przez warunki w otaczającej przyrodzie. Człowiek dorosły, uprzednio gruźlicą niedotknięty, niełatwo chorobie podlega.

Materyał statystyczny upoważnia nas tylko do jednego wniosku a mianowicie, że warunki życia przyczyniają się do rozwoju tkwiących już w organizmie tuberkuł w typowe suchoty. Sposobność do zarażania się suchotami nie posiada prawie żadnego znaczenia; to sama można powiedzieć o rozpowszechnieniu się ich przez dziedziczność, która teoretycznie wcale nie jest wykluczona, praktycznie wszakże nie odgrywa żadnej niemal roli. Mimo to nie ulega wątpliwości, że gruźlica rodziców lub krewnych i najbliższego otoczenia jest złą prognozą dla dziecka.

Pozorna sprzeczność da się przy bliższem rozwiązaniu sprawy doskonale pogodzić. Odziedziczenie może odbywać się rozmaicie; chorobę można przejąć zarówno przed urodzeniem, jak i po urodzeniu się.

Behring przyszedł na zasadzie swoich badań do przekonania, że mleko jest u niemowląt głównem źródłem powstawania gruźlicy.

Twierdzenie to może zdumiewać, ponieważ od dawna kładzie się nacisk na to, aby niemowlęta otrzymywały mleko zupełnie czyste lub przynajmniej nieszkodliwe. Mleko matki lub mamki jest ubogie w zarazki, a krowie przegotowuje się starannie, aby zniszczyć bakterye. A mimo to nie ulega dzisiaj wątpliwości, że jest. ono źródłem zarazy u dzieci, a to przedewszystkiem dzięki temu, że, jak na podstawie badań okazało się, błony śluzowe przewodu pokarmowego zarówno u ssawców zwierzęcych, jak i ludzkich nie posiadają środków do zwalczania bakteryj, wskutek czego przenikają one do soków organizmu o wiele łatwiej, niż u osobników dorosłych.

Na zasadzie tego ważnego odkrycia można stworzyć plan walki z gruźlicą o wiele

skuteczniejszy od wszystkich do tej pory stosowanych.

Ilość wprowadzonych do organizmu dziecięcego bakteryj nie odgrywa żadnej roli, gdyż nawet najmniejsza zatrzymuje się w jelitach, a zwłaszcza w ślepej kiszce, gdzie ma czas rozmnożyć się, a potem przez błonę śluzową, jak przez otwór sita, przejść i zarazę w organizm wszczepić. Niebezpieczeństwo nietyle grozi dzieciom, karmionym piersią matczyną, ponieważ zarazki w stanie żywym rzadko tylko z organizmu się wydostają, ile dzieciom karmionym sztucznie mlekiem krowiem, bo ono, zanim się od krowy dostanie do ust dziecka, przechodzi przez tyle rąk i różnych naczyń, że musi koniecznie ponabierać po drodze mnóstwo zarazków, które dostawszy się do przewodu pokarmowego niemowlęcia, rozwijają się i w krew przechodzą. Uniknięcie zarażenia się byłoby cudem, wskutek czego też śmiertelność wśród dzieci w przeciągu pierwszego roku życia jest o wiele większa, niż w ciągu lat następnych lub w wieku dojrzałym. Sterylizowanie mleka nie zapobiega złemu, chociażby było nawet dobrze przeprowadzone; tymczasem obecne metody sterylizacyi są według dr. Behringa niedostateczne i nie dają rękojmi bezpieczeństwa. Najlepiej byłoby, gdyby je pasteryzowano na miejscu otrzymania, a nie dopiero po przywiezieniu do wielkiego miasta. Metoda ta okazała się bardzo skuteczną przy chowie cieląt.

Skoro tedy zaraza tuberkuliczna następuje za pomocą przenikania zarazka przez błony śluzowe przewodu pokarmowego w wieku niemowlęcym, więc cała walka z chorobą powinna być skierowana w stronę racyonalnego odżywiania małych dzieci. Skutki zakażenia mogą wystąpić czasami po latach, a gdy wystąpią już objawy uchwytne, mamy do czynienia z suchotami.

Z powyższego okazuje się, że powszechna wiara w dziedziczność suchot została zachwiana, z tem jednakże bardzo ważnem zastrzeżeniem, że dziecko przejmuje gruźlicę od rodziców nie przed, lecz po przyjściu na świat. Gdy ono żyje razem z kaszlącymi suchotnikami, to niepodobna uniknąć, aby zarazki, unoszące się w powietrzu z wysuszonych plwocin, nie dostawały się do nosa i ust niemowlęcia, skąd już prosta droga do przewodu pokarmowego.

Metoda, nad którą pracuje dr. Behring, nie zmierza do najlepszego wyzyskania leczenia sanatoryalnego, lecz do usunięcia sanatoryów i zakładów leczniczych. Tymczasem nie podaje on żadnego środka, ponieważ sam go jeszcze nie posiada, lecz daje do zrozumienia, że ma nadzieję zdobyć go na podstawie tych doświadczeń, jakie prowadzi nad gruźlicą bydlęcą.

Środek, używany przez niego w zastosowaniu do bydła, byłby dla ludzi za silny. Trzeba go więc osłabić i dopiero wtedy stosować do człowieka.

Prelekcyę swoją, która tak silnem echem odbiła się w całym świecie, konczy następującemi słowami: „Być może, że i u człowieka da się zastosować metodę szczepienia ochronnego, jeżeli moje w biegu będące badania wykażą, że przez karmienie zwierząt odpowiednim preparatem (Tuberkulosevirus) zarówno będzie można osiągnąć ochronę tuberkuliczną na ssakach zwierzęcych, jak przez bezpośrednie wprowadzenie go do krwi.“

NOTATKI NAUKOWE.

—⁂—

H. Hauser. *L'enseignement des sciences sociales.* Paris 1903. Chevalier-Maresq.

Wobec powszechnego zainteresowania naukami społecznemi książka, mająca za zadanie poinformować gdzie i jak można je studyować, zjawia się bardzo na czasie. Autor jej, profesor wydziału literackiego w Dijon, był generalnym sekretarzem pierwszego międzynarodowego kongresu nauk społecznych w Paryżu w 1900 r.; miał przeto sposobność zebrać nader obfity materyał zarówno z korespondencyi z członkami, jak i z nadesłanych referatów i rozwoju nauk społecznych w różnych krajach. Zebrane wiadomości są umiejętnie rozklasyfikowane i zaopatrzone w niezbędne objaśnienia; mamy tu wielce dokładny, ścisły, możliwie objektywny zarys nauczania nauk społecznych w różnych stopniach — wyższym, średnim, elementarnym i popularnym. Rozpatrując nauczanie tak mało jeszcze zorganizowane i usystematyzowane, Hauser uważał za konieczne dać pewien zarys metod, gdzie również zachował jasność i objektywizm. Mamy więc tu charakterystykę metody prawniczej, metody ekonomistów, metody antropogeograficznej, porównawczej, monograficznej itd. Jako historyk skłania się najbardziej do metody monograficznej i w niej widzi najwięcej zalet, powstając zarazem przeciw metodzie socyologii pozytywnej, zalecanej przez zwolenników Dürkheima. Praca ta, jak dotychczas, jest jedyną w swoim rodzaju, zawiera bowiem pewien całokształt stanu nauczania nauk społecznych, a jako opracowana sumiennie oddać może wielkie usługi. *Z.*



LITERATURA I SZTUKA.

POEZYA I RYMY.

—⁂—

Jan Kasprowicz: *Moja pieśń wieczorna — Salve Regina*, Lwów, 1902. Nakładem księgarni B. Połonieckiego.

W dwóch oddzielnych tomikach, jakie mamy przed sobą, autor zawarł cykl najnowszych swych prac, z wyjątkiem poematu „Na wzgórzu śmierci“ (drukowanego w r. 1898 w zbiorku poezyj p. t. „Krzak dzikiej róży“), który obecnie ukazuje się po raz drugi. Na całość składają się następujące utwory: „Na wzgórzu śmierci,“ „Moja pieśń wieczorna,“ „Święty Boże święty mocny,“ „Dies irae,“ „Salome,“ „Hymn św. Franciszka z Assyżu,“ „Judasz“ i „Marya Egipcyanka.“

Jak widać z tytułów, są to fragmenty, do których treść poczerpniętą została przeważnie z Pisma św. Choć podzielone, tworzą one jednak ideową pełnię duchowego oblicza poety. Przewodnią myślą, jaka niemal przez wszystkie jego utwory przewija się, z pewną nawet nużącą monotonnością, jest myśl o „Golgocie.“ „Prześladowanie oraz skon męczeński czar wywierają na dusze... Golgota niezrozumiałą ma potęgę... Krzyża nie ustawili jeszcze dla jednego, a na jej wzgórzu już siada bezwiednie i nieświadoma swej tragicznej siły smętna tęsknica innych dusz... Golgota jest grobem pierwszego człowieka i będzie grobem ostatniego...“ Ta „nieświadoma tęsknica dusz“ przechodzi w tragizm z chwilą gdy uświadomiona „ciągnie... i człek wie, że to dobre, za co chce umrzeć, a gdy jest na szczycie, to, by nie umrzeć, powiada: nie warto — bo nie wiadomo, ażali jest dobre...“ Ostatecznem następstwem, a raczej syntezą takiego rozumowania staje się pełna żalu i zawodu skarga: „Wątpieniem postrącaliśmy swoich dawnych bogów, by na ich miejsce postawić — wątpienie.“

Taka jest ideowa treść i założenie „Na wzgórzu śmierci.“ Pod względem artystycznym jest to jeden z najlepszych utworów poety. Zwłaszcza prawdziwie pięknym, pełnym charakteru poetyckiego, jest ów końcowy ustęp, gdzie autor słowami „duszy wygnanej z raju“ zwraca się do Lucyfera: „Wiem, że występek znowu się zapłodni z twoich uścisków, że nowa Golgota powstanie z grzesznej miłości, co w naszem łonie zagości, a jednak pcha mnie płomienna tęsknota, której się oprzeć nie mogę, na twoich objęć rozpaczliwą drogę.“ Bezbrzeżnie bolesna rezygnacya konieczności poddania się szatańskiej potędze, przewyższającej siłę oporu, wieje z tych prostych, szczerych słów.

Jako jedyne rozwiązanie zagadki bytu, przynoszące wyzwolenie „od tego lęku, który powstał z grzechu,“ jawi się „Śmierć“: Kopcie samotny grób! Niechaj w nim kości położy ten, który z matki żywota wyniósł nieszczęsny los!“ (Święty Boże święty mocny).

W „Hymnie św. Franciszka z Assyżu“ myśl o śmierci przeradza się w miłosne jej pożądanie. To pragnienie śmierci, spoglądające na świętego „głębią łogodnych źrenic wybranki Klary,“ stapia się z uczuciem miłości ku tej ostatniej w hymnie do „Rozdawcy Cierpienia“: „Raduje się moje serce, raduje się wielką radością, żeś ręce mi przekłuł i nogi, że krew mi z boku ciecze, że mogę cierpieć Cierpieniem, z którego rodzi się Miłość.“

Podobnie charakteryzuje poeta nawrócenie „Maryi Egipcyanki.“ Tu również pierwiastek mistycznych uniesień kojarzy się w sposób zmysłowy z przedmiotem miłości — Chrystusem. Obawa, żeby nie stracić możności zmycia z siebie „grzechu“ pierworodnego, a przez to samo nie postradać nadziei zupełnego pogrążenia się w miłości dla „swego Zbawcy“, wyrywa z ust jej te samolubne, sprzeczne z psychologią serca kochającego słowa: „Tylko krwi Twojej świętej zbawi mnie pomazanie — każ Sobie przekłuć ręce, umieraj, Chryste Panie!“ Wyrzekłszy je, skruszona i przepełniona wdzięcznością za spełnione dzieło odkupienia, zwraca się do „bogów wybrańca“: „Czem ja Ci, Panie, zapłacę? Ciało Ci oddam i duszę!“ Akt tego oddania się Maryi Egipcyanki ciałem i duszą Chrystusowi przypieczętowywa hymn śmierci, „który cnotę zrównywa z grzechem.“

„Moja pieśń wieczorna“ i „Święty Boże święty mocny“ są to fragmenty przedewszystkiem nastrojowe, subjektywne, powstałe na tle wizyj przyrody. Przebija przez nie ogromne rozmiłowanie autora do swojskich krajobrazów. Budzą one w jego duszy przeróżne skojarzenia wyobrażeniowe, wyłącznie jednak mające za podkład tęsknotę „ku owym dniom zapomnianym, gdy miłość i spokój nie były ogniem trawiącym, ani kamiennem, ślepem przerażeniem.“ I w nich również jedynem wybawieniem od nędznej, rozpaczliwej „Doli“ życia, jawi się „śmierć.„ Różnica polega tylko na subjektywności stosunku poety do „sprawcy“ owej „Doli.“ W „Mojej pieśni wieczornej“ przebija pokorne poddawanie się wyrokom Boga, w hymnie zaś „Święty Boże święty mocny“ ujawnia się bunt i urąganie: „Ty nieśmiertelny, proch gwiazd przesypuj w swej klepsydrze złotej i płódź żywoty, aby tak klęły, jak ja!“ „Dies irae“ jest wrażeniem, wywołanem myślą o sądzie ostatecznym; treścią zbliża się bardzo do hymnu „Święty Boże święty mocny,“ stanowiąc, jakby jego dopełnienie. „Salome,“ „biały kwiat Herodyady, zerwany ręką Grzechu z świadomości drzewa,“ rozwija swą akcyę na tle wschodniem. Za motyw do tego utworu posłużyła autorowi miłość „Salome“ do „Proroka,“ malowana barwami jaskrawemi i zmysłowemi.

Czysto psychologicznym utworem jest „Judasz.“ Autor usiłuje w nim wykazać liczne przemiany sprzecznych uczuć, jakie miotały duszą zdrajcy Chrystusowego na samo wspomnienie „przymkniętych powiek na Weroniki chustce, z pod których wielki, straszny patrzy smutek“ i na myśl o tem, że „Chrystusa było przeznaczeniem

umrzeć na krzyżu, który po wiek wieków otoczon będzie czcią,“ gdy on „ma się błąkać wzgardzon i opływan.“ Szkoda tylko, że autor każe wygłaszać Judaszowi tego rodzaju żądania: „Nalej-że mi, karczmareczko, mocno przepalonej, a ty bratku, graj wesoło, gach u twojej żony“, które znalazłszy się tu tak niespodziewanie i niezgodnie z barwą historyczną niezmiernie osłabiają powagę nastroju.

Taka jest w głównych zarysach treść najnowszych poezyj Kasprowicza. Wyjątki z nich, jakie przytoczyliśmy w tekście naszym, nie mogą służyć za miarę artystycznej wartości utworów. Wybraliśmy bowiem tylko te, które najzwięźlej i najwierniej tłomaczą kierunek myśli autora, pomijając natomiast ustępy, zalecające się formą i nastrojem. Jak to już zaznaczyliśmy na wstępie, główną osią, około której obraca się twórczość poety, jest idea wiecznie odnawiającej się, nieustannej „Golgoty,“ pojętej, jako nigdy nienasycony, metafizyczny głód, nieuniknione przeznaczenie potomków Adama. Żeby przeto sformułować należyty sąd o najnowszych utworach tego poety, należałoby, że się tak wyrażę, stanąć „Na wzgórzu śmierci“ i z tego dopiero stanowiska objąć myślą ostatni jego dorobek literacki. Lecz to już wchodzi w zakres studyów, a naszym obowiązkiem było dać sprawozdanie.

Ograniczając się z tego powodu w swych sądach, nadmienimy tylko, że do rzędu najgłębszych uczuciem i myślą, najartystyczniejszych prac poety zaliczyć należy umieszczony na wstępie poemat „Na wzgórzu śmierci,“ do najsilniejszych pod względem dramatycznego napięca akcyi psychologicznej fragment „Judasz,“ do najbardziej nastrojowych hymny: „Moja pieśń wieczorna“ i „Święty Boże święty mocny,“ do najsłabszych zaś, w porównaniu z innymi, „Hymn św. Franciszka z Assyżu,“ który miejscami grzeszy rozwlekłością i poemat „Marya Egipcyanka,“ któremu zarzucić można pewną nienaturalność.

Poezye Kasprowicza dają przygnębiające wrażenie beznadziejności i rozpaczy. Jest to poeta „Golgoty,“ lecz nie tej, co wlewa ożywcze moce, zagrzewa do czynów, a tej, niestety, co odbiera wiarę w życie i w nas samych, na której i tak nam nie zbywa...

To też mimowoli ogarnia nas wraz z poetą smutek, że „żal go zdejmował, że mu nie daną była moc, by zmienić w tryumf te łzy, że nie miał siły, aby te szumy żałobne w jakiś weselny, w jakiś radosny hymn się rozpieśniły.“

Wiktor Dzierżanowski.



Rezygnacya.

I.

Dom mój był dawniej słoneczny i ludny,
Pod oknem rosły bluszcze, kwiaty, róże,
Dzwoniły strugi wody po marmurze,
A wkoło sad był woniejący, cudny...

Kiedy w promiennem, cichem zamyśleniu
Wschodziło słońce i sad się okwiecił,
Dom mój na wzgórzu jak świątynia świecił
Na tle błękitu i w drzew obramieniu.

Nieraz noc całą na tarasie stałem —
Gwiazdy oczyma mrugały złotemi,
A mgły się zwolna podnosiły z ziemi
I ogród morzem opływały białem.

II.

To sen był tylko, krótki sen o wiośnie —
Opadły liście i powiędły róże,
Widzę, jak pleśń się rozrasta na murze,
A pod oknami chwast i oset rośnie.

Duszę ubrałem w łachmany pokutne,
Kazałem sługom zaryglować bramę,
Bo wiem, że jutro będzie takie same
Szare, bezgłośne, nieskończenie smutne.

I nieraz nocą, kiedy szmery zgłuchną,
Wpatrzony w przestrzeń milczącą i ciemną,
Słyszę rozkładu robotę tajemną,
A w ścianach domu świeci pleśń i próchno.

Do mego łoża, gdzie sny chore marzę,
Żyjący jeszcze a już jakby w trumnie —
Przychodzą mary i widziadła tłumnie
I nad mą głową pochylają twarze.

O słońca zgonie mówią straszne baśnie,
Rozwianym wiankiem w rogu łóżka tańczą,
A wiatr za oknem jęczy opętańczo...
Ostatnie drewno na kominie gaśnie...

Idziesz już... pustką ugorów milczącą...
Cicho... w uwiędłej trawie krok twój słyszę...
Siejesz naokół sen i wieczną ciszę,
Oczy twe patrzą łagodnie, kojąco...

Robactwo ściany mego domu wierci,
Pleśń niszczy zwolna wszystkie fundamenta.
Wejdź w moje progi milcząca i święta,
Znużony jestem... czekam cię... o, śmierci!..

Henryk Zbierzchowski.

NA MARGINESIE.



Automat roboczy. Hermann Voge i August Falkenburg w Wittenbergu opatentowali świeżo aparat, dokonywający automatycznie wypłaty groszowej wzamian za napompowanie jego wnętrza określoną ilością wody. W ten sposób ludzie bez chleba, poszukujący zarobku, znajdą w każdym czasie możność otrzymania natychmiastowego grosza, za dokonaną pracę bez zwracania się do kogokolwiekbądź z prośbą o jałmużnę. Zdobytą zaś w ten sposób wodę będzie można zużytkować natychmiast do spłukiwania rynsztoków lub gromadzić ją w dużych odbieralnikach na wypadek ognia itp.; następnie dałoby się spotrzebować również tę wodę w waterklozetach, w kąpielach, gospodach, parkach itd. Te zbiorniki i pompy powinny być ustawiane w miejscach o ile możności łatwo dostępnych; specyalne ogłoszenia mają zawiadamiać o ich istnieniu ludzi bez pracy. Za cenę 10 fenigów powinno się napompować 400 litrów, co mniej więcej odpowiada kosztom sprowadzenia takiej samej ilości wody przez wodociągi. Wynalazcy sądzą, że w ten sposób uczyni się zadość prawu do pracy, zaspokoi obowiązek samopomocy, a zarazem zmniejszy liczbę żebraków i ograniczy zapomogi. Chcą oni stworzyć coś w rodzaju stacyj robotniczych, dostępnych dla wszystkich, oddających zarazem usługi ogółowi, co miastom i gminom zaoszczędzałoby wydatków. W dużych miastach, gdzie istnieją wodociągi, praca przy takim aparacie byłaby względnie mało użyteczna. Natomiast takie aparaty byłyby pożytecznymi w przytułkach dla robotników pozbawionych pracy; obecnie często się zdarza, że w celu przeciwdziałania żebraninie, zapobieżenia bezczynności i wypływającej stąd demoralizacyi daje się robotnikom zajęcie pozbawione wszelkiego znaczenia: ot naprzykład, każe się nasyp lub kupę kamieni z jednego miejsca przenieść na drugie, W takich warunkach aparaty wydoskonalone, odpowiedniej wielkości i liczby, mogłyby przynosić pożytek. Urządzenie wypłaty w aparacie wzorowane jest na wszelkich tego rodzaju funkcyach w automatach. Z chwilą napompowania dostatecznej ilości wody, wypada moneta 10-fenigowa, jak bilet kolejowy w innych automatach. Taki aparat mógłby być tylko środkiem dodatkowym, bo ostatecznie na takiem zmiennem źródle siły nie można opierać zaspokojenia stałego zapotrzebowania wody całej miejscowości. Zaś z drugiej strony w miejscach w wodę niezasobnych, gdzie możnaby pomyśleć o takiem sztucznem jej sprowadzaniu, w winnicach np., niema znów tylu ludzi bez zajęcia; w każdym razie pomysł jest ciekawy.

PRASA POLSKA.



— „Ani rusz zrozumieć nie można — pisze K. Bartoszewicz w nr. 35 *Gońca porannego*— z jakiej przyczyny dziennikarze warszawscy załamują ręce i, lejąc łzy gorzkie, wołają: aj, aj, jacy ci Węgrzy niegrzeczni, jacy niewyrozumiali, czego oni tym biednym Niemcom dokuczają! Co, pytam się, tym naczyniom, pełnym głębokiej polityki, szkodzi, że Węgrzy Węgrów w sądzie wojskowym będą sądzili po węgiersku? co im szkodzi, że węgierskim batalionom w ich własnym języku będzie pan porucznik, czy kapitan, dawał rozkazy maszerowania, obracania się w lewo i w prawo, celowania, strzelania i... uciekania, gdzie papryka rośnie? Dlaczego im milsze donnerwetterowanie, niż basamteremtetowanie?“ Jak dzieje uczą — mówi dalej fejletonista — wielojęzyczność nie była przeszkodą dla armii do odnoszenia zwycięztw, ani jednojęzyczność nie zabezpieczała jej od porażki — przypomnijmy sobie tylko wojny napoleońskie i odsiecz Wiednia przez Jana Sobieskiego.

„A więc śmiejcie się, kochani panowie — mówi dalej — z tych wszystkich, co wam mówią, że do zbawienia i bitności armii austryacko-węgierskiej potrzeba niemieckiej komendy. Sami Niemcy w to nie wierzą, czego dowodem skandaliczne rewelacye Węgra Polonyi'ego, wykazujące, iż w r. 1896 pięćdziesięciu posłów niemieckich ze stronnictwa „Deutsche Volkspartei, za uwzględnienie przez Węgrów interesów austryackiego przemysłu (przy układaniu traktatów cłowych), godziło się na samodzielność armii węgierskiej, zastrzegając tylko wspólność sztabu generalnego. I cóż wy na to, warszawscy obrońcy języka niemieckiego w wojsku węgierskiem? Czy nie widzicie, że ze strony Niemców idzie tylko o geszeft, że za dobrą łapówkę, daną im przez Węgrów, gotowi byliby może zgodzić się nawet na basamteremtetyzacyę pułków czysto austryackich? Co za to dostaniemy? — w tem grunt — a jeżeli Węgrzy bakczyszu nie poskąpią, to wśród Niemców nastąpi taki spokój, jaki zapanował obecnie w prasie galicyjskiej po „wyjaśnieniu“ ks. arcyb. Bilczewskiego w sprawie założenia przez ks. Gorazdowskiego szkoły niemieckiej we Lwowie.“

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Wydano przepisy o urządzaniu przez osoby prywatne, towarzystwa i instytucye publiczne odczytów ludowych z dziedziny gospodarstwa rolnego. Według zatwierdzonego programu, mogą one być połączone z pokazami i obrazami niknącymi. Pozwolenie na urządzanie odczytów dają pełnomocnicy do spraw rolniczych, a w guberniach, gdzie ich niema — zarządzający dobrami państwa lub inne osoby, wskazane przez ministra rolnictwa i dóbr państwa. Te osoby mają zatwierdzać teksty i program odczytów, i one są odpowiedzialne za wybór prelegentów. W prośbach o pozwolenie powinien być wskazany czas i miejsce odczytu oraz prelegenci. Wskazówki gubernatora miejscowego co do stosownego czasu i miejsca odczytu mają znaczenie decydujące. Nadzór nad porządkiem na odczytach ustanawia rozporządzenie gubernatora, który w razie potrzeby może usunąć prelegentów od dalszych odczytów, a także zawiesić same odczyty.

— Zatwierdzono ustawę kasy posagowej, wspólnej dla chrześcian i Żydów w Kole, gub. Kaliskiej, z tym warunkiem, że Żydzi mogą należeć do zarządu tylko w jednej trzeciej ilości członków.

— Senat odrzucił skargę kasacyjną, wniesioną przez kilkudziesięciu oskarżonych o zaburzenia anti-

żydowskie w Częstochowie i zatwierdził wyrok izby sądowej.

— Wzmogło się wychodźstwo włościan z powiatu Stopnickiego do Ameryki północnej. Główną przyczyną są klęski powodzi i nieorodzajów tegorocznych.

— W celu wzmocnienia żywiołu rosyjskiego w kraju Północno-Zachodnim — pisze *Kijew. Gaz.* — oddział wileński Banku włościańskiego zamierza już w roku bieżącym zacząć nabywać majątki ziemskie w gub. Kowieńskiej i następnie rozsprzedawać je po cenie kosztu włościanom pochodzenia rdzennie rosyjskiego.

— Według ostatniego spisu ludności, dokonanego w Niemczech, Polaków w Brandenburgii mieszka 57,187, na Pomorzu — 15,977.

— W zborze izraelickim we Lwowie odbyły się obrady gmin wyznaniowych w sprawie zwalczania handlu dziewczętami. Obradom przewodniczył dr. Emil Byk, a udział wzięło w nich około stu osób, w tej liczbie dolegaci z zagranicy, posłowie żydowscy do Rady państwa i do sejmu, rabini i delegaci prowincyonalnych, izraelskich gmin wyznaniowych. Wygłoszono kilka referatów, ściągających się przedewszystkiem do dziewcząt izraelskich. Między innemi podniesiono potrzebę organizowania komitetów miejscowych do zwalczania handlu żywym towarem, podnoszenia poziomu umysłowego i etycznego wśród Żydów, tworzenia, zwłaszcza na prowincyi, biur pośrednictwa pracy dla dziewcząt, szerzenia słowem i pismem agitacyi przeciw handlowi dziewczętami itp. W dyskusyi zabierali głos liczni mówcy i prawie wszyscy wskazywali brak oświaty wśród ubogich warstw żydowskich, jako główny powód szerzenia się niecnego handlu. Jeden z mówców, p. Singer, delegat londyński, zapoznał uczestników obrad z działalnością komitetu londyńskiego, który w r. 1902 ocalił od grożącej hańby 1,020 dziewcząt, między niemi 42 niżej lat 14, oraz zrewidował 507 okrętów przy pomocy utrzymywanych własnym kosztem w miastach portowych umyślnych agentów. Uchwalono założyć „Towarzystwo ochrony żydowskich kobiet i dziewcząt,“ którego celem będzie zwalczanie handlu dziewczętami w Galicyi i na Bukowinie przez ekonomiczne i moralne podniesienie ubogiej ludności żydowskiej. Przyjęto wniosek dr. Nathana, aby przyjmować agentów do agitacyi w tej sprawie. Na wniosek rabina Horowitza z Krakowa uchwalono wezwać rabinów galicyjskich, aby zwalczali zbytek wśród Żydów. Uchwalono dalej wniosek p. Rosenacka, aby założyć gazetę żargonową, któraby zwalczała handel dziewczętami, aby dążyć do reformy chederów, wreszcie założyć biuro pośrednictwa pracy; oraz wniosek rabina Schmelkesa z Kołomyi, aby rabini galicyjscy ogłosili w bożnicach, że denuncyowanie handlarzy dziewczętami jest obowiązkiem każdego Żyda.

Z Poznańskiego. Sąd karny w Gnieźnie skazał 8 Polek, oskarżonych o naruszenie ustawy o stowarzyszeniach kółek czytelnianych, na grzywny od 15 do 20 marek. Tenże sąd uwolnił wszystkich oskarżonych o ułatwienie ucieczki skazanej w procesie wrzesińskim Piaseckiej, z wyjątkiem kasyera komitetu, Ziołeckiego, którego skazano na tydzień więzienia.

— Prezes regencyi poznańskiej nakazał właścicielom aptek, aby sygnatury na lekarstwach drukowane były tylko w języku niemieckim.

Szkoły i wychowanie. Ministeryum oświaty zatwierdziło ustawę stypendyów i kursów imienia Stanisława Moniuszki przy Towarzystwie muzycznem w Warszawie.

— W Siedlcach otworzono pierwszą szkołę rzemieślniczą.

— Z rozporządzenia władzy zamkniętą została szkoła realna Floryana Łagowskiego (*Kur. Warsz.*).

— Rektorat szkoły politechnicznej we Lwowie przypomina, że w myśl rozporządzenia ministeryalnego, wydanego w roku zeszłym, nowi kandydaci na słuchaczów tejże politechniki, nieposiadający austryackich świadectw dojrzałości, tylko świadectwa równorzędnych średnich szkół zagranicznych, winni najpóźniej do d. 15 października zgłosić się do politechniki lwowskiej i wnieść podanie do ministeryum oświaty o przyjęcie. Po tym terminie podania nie będą przyjmowane,

— Towarzystwo „Concordia“ w Lipsku zawiadamia, że udziela wszelkich informacyj osobom, pragnącym wstąpić do uniwersytetu lub też do wyższej szkoły handlowej w tem mieście. Zapytania listowne należy adresować: Akademischer Verein „Concordia,“ Cafe Phölein, Zeitzer und Hohestrasse, Lipsk. Informacye ustne można zebrać na miejscu u sekretarza Towarzystwa.

Sprawy ekonomiczne. W ministeryum spraw wewnętrznych poruszono sprawę zbadania przyczyn i warunków emigracyi włościan z Królestwa Polskiego do Ameryki, tudzież ich materyalnego i ekonomicznego położenia na drugiej półkuli. Badanie to przedsiebrane jest w celu wyjaśnienia, czy nie udałoby się skierować ruchu emigracyjnego na grunty rządowe po za Kaukaz i na Dalekim Wschodzie. (*Now. Wr.*).

— Zawiązał się w Królestwie Polskiem syndykat hut żelaznych w celu unormowania cen i produkcyi.

— D. 29 listopada otworzona będzie w Petersburgu wystawa nasion, bez udziału firm handlowych.

— D. 10—14 października odbędzie się w Rydze wystawa drobiu, urządzona przez miejscowe Towarzystwo hodowlane.

Koleje i komunikacye. W Petersburgu powstają kursa kolejowe, które przygotowywać będą osoby płci obojej do pełnienia rozmaitych czynności służbowych.

— Zarząd Towarzystwa kolei Chińskiej, zachodniej zawiadamia, że w miastach Charbinie i Dalnym otworzono agentury handlowe, a przy nich biura transportowe. Agentury wykonywają: 1) wszelkie czynności, związane z ruchem osobowym i towarowym, tak w komunikacyi miejscowej, jak bezpośredniej; 2) przewóz towarów wodą i wozami, po cenach ustanowionych lub umówionych z właścicielami towarów; 3) uskutecznianie formalności celnych; 4) wydawanie pożyczek pieniężnych na wysyłane i przybywające towary; 5) przyjmowanie towarów w komis do sprzedaży.

— Stacyę Rozdzielna na kolei Herby-Częstochowa przemianowano na Stradom.

— Na kolei Kaliskiej wprowadzono telefony przenośne, dające możność porozumiewania się ze stacyami za pośrednictwem drutów telegraficznych z każdego punktu linii.

— Ministeryum komunikacyj wyjaśniło, że bilet klasy III daje prawo przewodnikom do odbywania podróży jednocześnie z ładunkiem.

— Postanowiono doprowadzić do skutku budowę kanału windawskiego, mającego połączyć Niemen z portem w Windawie. Koszt budowy obliczono na 40 milionów rb.

Zdrowie publiczne. W Wilnie założony będzie szpital dla obłąkanych, mieszkańców gub. Wileńskiej, Kowieńskiej, Grodzieńskiej, Witebskiej i Mińskiej, a w razie miejsc wolnych, i dla chorych z gubernij ościennych. Wszystkich miejsc będzie 1,000.

Klęski żywiołowe. Straty, zrządzone przez pożar w Złoczowie, obliczono na 6 milionów koron.

Katastrofy. Mniej lub więcej silne trzęsienie ziemi dało się uczuć w Santjago, w Hamburgu i w prowincyi Estergotlandzkiej (Szwecya).

— W forcie San-Sebasian (Mozambik) skutkiem wybuchu prochowni straciło życie 103 ludzi.

Zmarli. Adam Badowski, artysta-malarz, w Warszawie.

— Sylwester Worobkiewicz (Danił Mirko), poeta i kompozytor rusiński, w Czerniowcach, na Bukowinie.

— Aleksander Bain, profesor logiki w uniwersytecie aberdeeńskim, w Szkocyi.

OFIARY.

Na powodzian: Bolesław Oknicki z Rewla rb. 5.

SPROSTOWANIE. W nr. 39, str. 462 szp. 3, wier. 66 od góry zamiast „prastarych bogów“, czytać trzeba „prastarych borów.“

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурую, Варшава 18 Сентября 1903 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.